

W NUMERZE: Buduj się kto może! — str. 1 ● Związki zawodowe — szukanie drogi — str. 1 ● O czym radzono w słupskiej „Alce” — str. 4 ● Pionier z Białego Boru — str. 5 ● Karty z dziejów Pomorza — str. 6 ● Wspomnienie o Zofii Nałkowskiej — str. 7 ● Śmiertelny cios — str. 9

Nr indeksu 38397
PL JSSN 138-0745

zbliżenia

1985.02.14

7 (262)
Rok VII

TYGODNIK POMORZA ● SŁUPSK-KOSZALIN ● PISMO PZPR ● 10 ZŁ

Fabryka na działce

ANDRZEJ RADZIK

Mini-33

Urządzenie nazywa się Mini-33 i jak każda genialna rzecz jest niezwykle proste. Na pierwszy rzut oka sześcienna skrzynka stalowa o bokach około metr dwadzieścia, cztery małe kółeczka, rama wypełniona ażurowymi formami; z boku długa, pionowo sterująca dźwignia.

Jeśli tę dźwignię przesunąć do przodu, urządzenie podnosi się na około trzydzieści centymetrów do góry i opada je go część wewnętrzna odsłaniając wnętrze, które niewielką rynną zasypową zalewa się płynnym betonem. Włącza się na kilka sekund wibrator, dłużej dźwignię przesuwamy w skrajne odwrotne położenie i rama z formami podnosi się pozostawiając na podłożu porcję pustaków. Od czterech do dwunastu pustaków, zależnie od ich wielkości i kształtu wyznaczonych form i stempli. Po tym urządzenie przesunąć trzeba jakieś półtora metra, operację się powtarza i znowu pozostaje kilka pustaków.

Mierzylem: na jedną operację potrzeba około dwóch minut, a do obsługi urządzenia — dwóch ludzi. W ten sposób w ciągu pięciu, sześciu dni, przy ośmiogodzinnej pracy, nie wymagającej ani siły fizycznej ani kwalifikacji, można zapewnić sobie materiały budowlane na domek jednorodzinny. Podkreślam: wszystkie niezbędne materiały, i to — jak obliczyli fachowcy — w cenie najmniej czterokrotnie niższej od aktualnych cen rynkowych.

Pustaki

Właściwie powinienem powiedzieć bardziej fachowo — prefabrykaty budowlane. Trudno nazwać pustakiem na przykład element stropowy typu DZ, cegłę fundamentową, płytę chodnikową, czy też żwierznię, ażurowe płytki na ogrodzenie. Tylko kształt form i stempli przesądza, co maszyna pozostawia za sobą na ziemi. To co pozostawia jest idealnie gładkie, równe i wytrzymałe. Są to pustaki o niespotyka-

nym kształcie, tak pomyślane, że można z nich składać ściany domów jak z klocków, bez stosowanej dotąd w tradycyjnym budownictwie zaprawy murarskiej. Z obu stron prefabrykaty mają specjalne gniazda połączeniowe, w stolarstwie zwane jaskółczym gniazdem. Zestawiwszy dwa pustaki owymi jaskółczymi gniazdami do siebie, leje się w nie trochę betonu i już są związane na wieki. Z takich pustaków dom złożyć mogą nawet dwie osoby, jeśli tylko wiedzą, co to jest poziom i pion.

Można te pustaki produkować ze wszelkich materiałów lokalnego pochodzenia i odpadów przemysłowych, lecz spoiwem wiążącym jest zawsze cement. Może więc maszyna wytwarzać prefabrykaty żwirobetonowe, żużlobetonowe, strużkobetonowe — słowem z tego, czego okolica ma pod dostatkiem.

Czyżby jednak rewolucja?

Idea pustaczarki powstała jako odpowiedź na ogromniejące zapotrzebowanie inwestorów domków jednorodzinnych na materiały budowlane. Pomysłodawcą urządzenia jest inżynier Aleksander Lendziop z Warszawy, twórca pomysłów wielu interesujących maszyn. Ze względu na prostotę obsługi, możliwość nieograniczonej różnorodności wytwarzanych prefabrykatów, taniość ich produkcji, zapowiada ona prawdziwy przewrót w małym budownictwie. Całe obiekty można zestawiać bez użycia cegły, lokalizując przy tym tę małą przenośną wytwórnię tuż na placu budowy.

Dzięki niej można zestawiać domki jednorodzinne i garaże, chlewiki i fermy hodowlane, ogródki i altanki. Można budować nawet kilkupiętrowe domy, jeśli tylko odpowiednio skomponuje się beton na prefabrykaty, by zapewnić im większą wytrzymałość. Oto idea alna fabryka dla Kowalskiego z marzeniami o czterech ścianach i ogródku.

e.d. na str. 5



Przed laty niezły pomysł pn. „Lektury z makulatury”, jednorazowo przyniósł olbrzymie ilości tego surowca i dostęp do „Dzieł wszystkich” Mickiewicza tyśiącom ludzi. Gdyby tak akcjami dało się uregulować obrót surowcami wtórnymi — prawdopodobnie stałyby one na wysokim poziomie w naszym kraju. Niestety, o wszystkim decyduje dzisiaj organizacja, przemysłowa, celowa działalność, w więc decyduje nie tylko sama zbiórka surowców wtórnych, lecz i przemysł, który je przetwarza. Na razie z całego systemu od lat działa

„nadbudowa”, czyli Centrala Surowców Wtórnych. O bazie przetwórczej — niewiele nowego i dobrego można powiedzieć. Natomiast na dole tego systemu jeszcze spotkać można samotników, którzy zbierają gazety, opakowania, ratując cenny surowiec przed wyrzuceniem na śmietniki, spalaniem. Ot, taka mała, prywatna, ale niezastąpiona manufaktura. W wielu innych krajach dzięki surowcom wtórnym świetnie prosperują całe gałęzie przemysłu...

Fot. JAN MAZIEJUK

Niby nie jesteśmy daltonistami, a jednak wygodnie nam widzieć rzeczywistość w czarno-białych obrazach. Albo coś jest wyłącznie dobre, albo — całkowicie złe.

Rzeczywistość nie znosi próżni

JOLANTA NITKOWSKA

Stereotyp taki jest widoczny w relacjach i sądach o działalności związków zawodowych. A na sytuację ruchu związkowego można patrzeć różnie, ma on także swoje pocięnie, szarości. O ile coś nie wiadomo o działalności związków w zakładach przemysłowych, gdzie sfera ich oddziaływania daje się stosunkowo łatwo określić, bardzo się taki prosty osąd kompli-

kuje, jeśli przyjrzeć się związkowi zawodowemu w placówkach kulturalno-oświatowych. Powszechny schematyzm w ocenie działalności związkowej wywołuje jedynie pocięnie, szarości. O ile coś nie wiadomo o działalności związków w zakładach przemysłowych, gdzie sfera ich oddziaływania daje się stosunkowo łatwo określić, bardzo się taki prosty osąd kompli-

kuje, jeśli przyjrzeć się związkowi zawodowemu w placówkach kulturalno-oświatowych. Powszechny schematyzm w ocenie działalności związkowej wywołuje jedynie pocięnie, szarości. O ile coś nie wiadomo o działalności związków w zakładach przemysłowych, gdzie sfera ich oddziaływania daje się stosunkowo łatwo określić, bardzo się taki prosty osąd kompli-

kuje, jeśli przyjrzeć się związkowi zawodowemu w placówkach kulturalno-oświatowych. Powszechny schematyzm w ocenie działalności związkowej wywołuje jedynie pocięnie, szarości. O ile coś nie wiadomo o działalności związków w zakładach przemysłowych, gdzie sfera ich oddziaływania daje się stosunkowo łatwo określić, bardzo się taki prosty osąd kompli-

kuje, jeśli przyjrzeć się związkowi zawodowemu w placówkach kulturalno-oświatowych. Powszechny schematyzm w ocenie działalności związkowej wywołuje jedynie pocięnie, szarości. O ile coś nie wiadomo o działalności związków w zakładach przemysłowych, gdzie sfera ich oddziaływania daje się stosunkowo łatwo określić, bardzo się taki prosty osąd kompli-

e.d. na str. 4

FOTO zblizenia KOSZALIN



Podczas Wojewódzkiego Zjazdu Stronnictwa Demokratycznego w Koszalinie grupa zasłużonych działaczy stronnictwa została odznaczona Medalem 40-lecia. Otrzymało je 26 członków SD z województwa koszalińskiego.



Dzięki zakładom „Telkom-Telcza” mały Czaplinek jest znany w całym kraju. Z tego miasta pochodzą m.in. prostowniki do ładowania akumulatorów, cewki transformatorowe, mikrofony dla górników.



Ostatnie tygodnie przyniosły poprawę pogody na morzu. Zaczęły się „dorszowe żniwa”. A w przetwórnictwie kolobrzskiej „Barka” (na zdjęciu) — produkowano z zapasów marynaty śledziowe.



„Unitra-Eltra” w Białogardzie jest m.in. producentem samochodowych anten radiowych, na pozór mało skomplikowanych, ale również wymagających precyzji i kontroli jakości.



Piękne gobeliny można podziwiać w galerii koszalińskiego Klubu MPiK. Autorką jest Zofia Otto, artystka z Warszawy.

Fot. JERZY SZYCH

ROŚNIE SPRZECIW wobec polityki USA. Pakt wojskowy ANZUS pogrążył się w stan największego w swej historii kryzysu po odwołaniu zaplanowanych na marzec do rocznych manewrów morskich „Sea Eagle”, w których mieli uczestniczyć trzej członkowie tego paktu: Stany Zjednoczone, Australia i Nowa Zelandia. Manewry odwołano, gdyż Nowa Zelandia nie zezwoliła na odwiedzanie swych portów przez amerykańskie okręty zdolne do przewożenia broni nuklearnej. Kłopoty ma także europejski pakt NATO; jego członek, Grecja odmówiła udziału w jakichkolwiek manewrach tego Układu. Natomiast Australia odmówiła swego udziału w próbach międzykontynentalnych rakiet balistycznych MX, które Pentagon zaplanował również na marzec br. Australia oświadczyła, że nie zezwoli na przeloty amerykańskich samolotów kontrolujących tory lotu rakiet MX nad swym terytorium.

76 PROCENT obywateli RFN akceptuje granice na Odrze i Nysie. Taki wynik reprezentatywnej ankiety opublikował właśnie zachodniemiecki Instytut Badania Opinii Publicznej EMNID. Na

pytanie: „Czy uważasz, że powinniśmy się pogodzić z obecnością granicy polsko-niemiecką, z linią Odra — Nysa?” tylko 24 proc. respondentów dało odpowiedź negatywną, reszta dała odpowiedź jednoznacznie pozytywną.

DEPARTAMENT Stanu USA rozpowszechnił wśród dziennikarzy obszernie memorandum z okazji 40. rocznicy Konferencji Jaltańskiej, w którym podjęto próbę pozabawienia istotnego znaczenia za wartych w Jalcie porozumień. Oskarżono też ZSRR o naruszenie „ducha i litery” tych porozumień. Autorzy dokumentu przytoczyli wypowiedzi prezydenta Reagana, sekretarza stanu Shultza i wiceprezydenta Busha, którzy oficjalnie nie utrzymują, że obecna sytuacja w Europie jest rezultatem odmowy Związku Radzieckiego zrealizowania postanowień jaltańskiej „Deklaracji o wyzwolonej Europie”. Nie ukrywa się w memorandum, że Stany Zjednoczone chciałyby dokonać rewizji istniejących granic między państwami europejskimi i innych realiów terytorialno-politycznych, jakie ukształtowały się po II wojnie światowej.

WYMIENIALNY FORINT. Pierwszy wiceprezes Węgierskiego Banku Narodowego János Fejérvári oświadczył, że w następnej pięcioletniej (1988—1991) Węgry chcą ogłosić wymienialność forinta. Mówiąc o czynnikach sprzyjających takiemu posunięciu Fejérvári podkreślił, że w 1984 roku Węgry nie zanotowały deficytu w bilansie handlowym i płatniczym ani w budżecie państwa. Stwierdził natomiast, że czynnikiem, który może spowodować przesunięcie ogłoszenia wymienialności forinta na koniec przyszłej pięcioletki jest kurs dolara „sprzecznym z wszelką logiką ekonomiczną, jeśli wziąć pod uwagę ogromny deficyt handlowy i budżetowy USA”.

WEDŁUG najnowszych danych zadłużenie państw kontynentu latynoamerykańskiego sięgnęło 350 mld dolarów.

DEBATA PARLAMENTARNA, która na żądanie opozycyjnej Partii Pracy odbyła się w brytyjskiej Izbie Gmin, potwierdziła twardą postawę rządu w konflikcie z górnikami i nie wniosła nic nowego do trwającego już 11 miesięcy sporu. Władze brytyjskie utrzymują, że główną

przeszkodą na drodze do kompromisowego zakończenia strajku jest upór przywódców związkowych. Partia Pracy z kolei obarcza gabinet wyłączną odpowiedzialnością za przedłużanie konfliktu.

NARKOMANIA. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) poinformowała, że zjawisko narkomanii wciąż rozszerza się i objęło już około 48 mln osób. Coraz więcej osób zaczyna walczyć z narkotykami. Najczęściej używaną jest marihuana, ale od pewnego czasu notuje się szybki wzrost liczby ludzi biorących kokainę, zwłaszcza wśród bogatych sfer w Europie Zachodniej i USA.

ŚWIECCY pracownicy Watykanu, a jest ich około 1800, pierwszy 26 lutego swe zajęcia zawodowe, aby udać się w godzinach pracy na nadzwyczajne zgromadzenie, zwołane jako wyraz protestu przeciwko nierealizowaniu przez administrację watykańską po rozumieniu z dnia 19 października ub. roku, dotyczących poprawy warunków pracy i płacy, które nie były rewidowane od lat, mimo wysokiej stopy inflacji we Włoszech.

Z KRAJU

PO 25 DNIACH procesu Sąd Wojewódzki w Toruniu ogłosił wyrok w sprawie o uprowadzenie i zabójstwo ks. Jerzego Popiełuszki. Sąd skazał Grzegorza Piotrowskiego na karę łączną 25 lat pozbawienia wolności oraz praw publicznych na 10 lat, Leszka Pekałę na karę łączną 15 lat pozbawienia wolności, a Waldemara Chmielewskiego na 14 lat pozbawienia wolności. Adamowi Pietruszce sąd wymierzył karę 25 lat pozbawienia wolności.

W 80 ROCZNICĘ urodzin Władysława Gomułki w Krośnie, w domu należącym do jego rodziców otwarto muzeum poświęcone temu wybitnemu działaczowi ruchu robotniczego i mężowi stanu.

POLSKA I ZACHÓD. Sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych omawiała stan i perspektywy rozwoju stosunków Polski z krajami zachodnimi. Wskazano na znaczny postęp uzyskany w normalizacji stosunków z państwami Europy Zachodniej i Japonią przy utrzymujących się zahamowaniach w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi i będących następstwem restrykcji zastosowanych przez administrację USA po 1981 roku. Miarą osiągniętych efektów, jak stwierdzono, były pierwsze od 1981 roku oficjalne wizyty na wysokim i najwyższym szczeblu z Grecji, Austrii, Finlandii, Włoch, a także przeprowadzenie konsultacji politycznych z wieloma krajami Europy Zachodniej. Dużym osiągnięciem są korzy

stne dla Polski warunki porozumienia z Klubem Paryskim o restrukturyzacji naszego zadłużenia, czy wręcz powrót do normalnych stosunków traktatowych w sprawach współpracy gospodarczej z takimi krajami jak W. Brytania czy Włochy.

PREZYDIUM Rządu przyjęło „Program ochrony zdrowia i pomocy społecznej na lata 1988—1990”. Dokument ten prezentuje ocenę obecnej sytuacji zdrowotnej kraju i na tej podstawie określa potrzeby na przyszłość, w wariantowym ujęciu formułując zadania w zakresie inwestycji, zaopatrzenia w aparaturę i leki, rozwoju kadr. Główne zagrożenia zdrowia i życia ludzkiego są w coraz większym stopniu związane z niekorzystnymi zmianami w środowisku naturalnym oraz niedostatecznym poziomem wychowania i kultury zdrowotnej społeczeństwa. Poważnej przyczyną wielu chorób „Program” upatruje w zaniedbaniach sanitarno-epidemiologicznych. O

wzmoczeniu zapotrzebowania na świadczenia służby zdrowia decyduje też specyficznie rozwijająca się sytuacja demograficzna w kraju.

PLACE. Przeciętne wynagrodzenie miesięczne pracowników gospodarki społecznej kształtowało się w ub. roku na poziomie 16,9 tys. zł, zaś dynamika wynagrodzeń w stosunku do roku 1983 wyniosła 20,2 proc., znacznie wyprzedzając wzrost wydajności pracy mierzonej na jednego zatrudnionego, wyrażający się w ub. roku wskaźnikiem 5,9 proc.

W KRAJU działa już ok. 1400 społecznych komitetów zajmujących się budową, remontem lub odtworzeniem placówek oświatowych. Zebrano już na ten cel 1,2 mld zł. Liczy to świadczą o tym, z jak szerokim zrozumieniem i społecznym poparciem spotkało się wezwanie Rady Krajowej PRON o Narodowy Czyn Po mocy Szkole.

Z REGIONU

JAK PRACOWALIŚMY. Interesujące dane o wynikach gospodarczych w ubiegłym roku przyniosły komunikaty wojewódzkich urzędów statystycznych w Słupsku i Koszalinie. Wskazują one, że w podstawowych działach produkcji materialnej nastąpił wyraźny wzrost. W przemyśle ogólnym w województwie słupeckim wartość produkcji sprzedanej zwiększyła się w stosunku do roku 1983 o 10,6 proc., (licząc oczywiście w cenach z roku 1983), zaś w Koszalińskim — o 6,1 proc. Ma też Słupsk przewagę jeśli chodzi o wyniki pracy rolnictwa. O ile plony zbóż w Koszalińskim wzrosły — w porównaniu do roku 1983 — o 7,6, to w Słupsku wzrósł się aż 12,3 proc., zaś całych zbiorów aż o 16,3. Przeciętne miesięczne wynagrodzenie pracownika przemysłu w województwie słupeckim sięgnęło w Koszalińskim 15 735 zł, przy wzroście wydajności pracy o 7,4 proc., zaś w Słupsku nieco więcej — 15 919 zł, przy zwiększeniu wydajności, mierzonej wartością produkcji sprzedanej na jednego zatrudnionego, o 10,7 proc. Przychody mieszkańców województwa słupeckiego podniosły się w minionym roku o 22,1 proc., zaś wydatki o 22,1 proc., natomiast w Koszalińskim przychody wzrosły o ok. 15 proc., zaś wydatki o ok. 20 proc.

KOMISJA BEZPIECZEŃSTWA, Porządku Publicznego i Przestrzegania Prawa KW PZPR w Słupsku zajęła się na swym ostatnim posiedzeniu stanem realizacji ustawy o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Zjawisko alkoholizmu się rozszerza, świadczą o tym dane statystyczne. O ile w 1983 ro-

ku prokuratury rejestrowały łącznie 534 sprawy związane z nadużyciem alkoholu, to już w roku ubiegłym odnotowano ich 930. Również rejestry milicyjne wołają o alarm. Aż 522 przestępstw dopuszczono się pod wpływem alkoholu. Kolegia do spraw wykroczeń rozpatrzyły 227 wniosków o ukaranie za naruszenie obowiązku trzeźwości w czasie wykonywania zadań służbowych. Niepokojący jest wzrost bimbrownictwa. Podczas obrad ponownie silnie podkreślono konieczność budowy w Słupsku izby wytrzeźwień, którą to konieczność od kilkunastu lat wszyscy po dzielają, tyle że władze administracyjne na kolejne wnioski w tej sprawie reagują nabytym opieszałością.

POWOLI ale systematycznie zmniejsza się na wybrzeżu liczba rybaków łowiących z łodzi na wodach przybrzeżnych. W Koszalińskim jeszcze przed pięciu laty ich liczbę określano na 200 obecnie jest ich tylko 169. Powody? Nie ma komu budować łodzi, a przy tym ceny sprzętu rybackiego zatrażająco rosną. Jeszcze cztery lata temu dębowa łódź rybacka kosztowała około 90 tys. zł, obecnie trzeba za nią zapłacić dziesięć razy więcej. Podrożały kilkakrotnie również silniki. Zahamowanie upadku rybołówstwa przybrzeżnego, a może nawet jego stopniową odbudowę spowodować mogłyby kredyty bankowe. Są one jednak niskie. Komisja Morska KW PZPR w Koszalinie, która ostatnio debatowała nad tym problemem wskazała na szereg możliwości mogących poprawić sytuację rybołówstwa przybrzeżnego. Komisja postuluje m.in. zapewnienie pomocy

finansowej dla rybaków, szuka się także sposobów na lepsze zaopatrzenie rybaków w łodzie, sieci, sprzęt ratowniczy, itp.

GAZ ZIEMNY ze złoza w Gorzysławiu dotarł już do Sławna, Słupska i Ustki. Obecnie czyni się starania, aby również Lębork i Bytów, gdzie miejscowe gazownie pracują resztką siły, otrzymały gaz ziemny, tyle że z kierunku Wejherowa. Gaz ten zasili w przyszłości również Słupsk. Kłopotów jest wiele, jako że przesyłanie gazu ziemnego, wysokociśnieniowego, wymaga innych niż żeliwne przewody. Stąd zanim końcówki nowych magistrali dotrą do miast konieczna jest wymiana wielu kilometrów dotychczasowych, żeliwnych rur sieci komunalnych na stalowe. Najlepsza sytuacja jest w Sławnie, które najwcześniej otrzymało gaz ziemny. Z 16 km sieci miejskiej tylko kilometrowy odcinek pozostaje jeszcze do wymiany. W Uście dwa, bo pięć już wymieniono. Ale w Bytowie na 24 km sieci aż 10 sta nowią przewody żeliwne, zaś w Lęborku siedem kilometrów z całej 24-kilometrowej sieci. Słupskie Zatorze ma już nową 15-kilometrową sieć i jest zasilane gazem ziemnym. Ale na 103 km całej sieci jeszcze trzeba w miesiącu wymienić 48 km przewodów żeliwnych i to z takim wyliczeniem, by inwestycję tę zakończyć przed 1990 rokiem.

SERIE ponurych zabójstw przyniósł województwu słupeckiemu ubiegłoroczny listopad, koszalińskiemu zaś tegoroczny styczeń. 24 stycznia znaleziono w Lipce koło Świdwina zwłoki 72-letniej kobiety. Mimo że nie należała do zamożnych, jej mieszkanie zostało

dokładnie spiędrwane, a ona sama uduszona poduszką. Drugi przypadek miał miejsce w Koszalinie, gdzie znaleziono na ulicy nieprzytomną kobietę z poważną raną głowy. Nie wiadomo, przewieziono ją do szpitala i to tylko, zdaniem lekarzy, uratowało jej życie. Trzeci przypadek zanotowano w Borkowie, gdzie podczas pijackiej libacji, towarzyszącej transakcji sprzedaży budynków gospodarczych, doszło do nieporozumień, których skutkiem stała się próba zabójstwa jednego z jej uczestników. Sprawy tych czynów są już w areście.

W SŁUPSKU odbyło się plenarne posiedzenie Wojewódzkiego Komitetu Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia. Debatowano nad realizacją zadań, jakie postawił sobie Wojewódzki Komitet NFOZ w ciągu 10-lecia swego istnienia. W tych latach na konto Funduszu wpłynęło 252 mln 484 tys. zł, które to środki w całości zostały wykorzystane na potrzeby rozwoju lecznictwa w województwie słupeckim. Członków Wojewódzkiego Komitetu poinformowano o aktualnych problemach służby zdrowia. Przyjęto plan finansowy i inwestycyjny na bieżący rok. Podczas posiedzenia wielu działaczy Narodowego Funduszu wyróżniono odznaką honorową za krzewienie idei NFOZ.

27 MLN ZŁ wyniesie wartość sprzętu pływającego z tworzyw sztucznych, który w tym roku wyprodukuje Zakład Wytwórczy PTTK w Mielniku. Po raz pierwszy w tym roku Miasto opuścił parcia małych jachtów żaglowych typu „Skrzat 560” z pełnym wyposażeniem.

Nad Dnieprem

Z Połtawszczyzną czyli z obwodem połtawskim na Ukrainie współpracuje od lat województwo koszalińskie i słupskie. Przed zmianą podziału administracyjnego, wojewódzki Koszalin współpracował z wojewódzką — prowadząc nazewnictwo do warunków polskich — Połtawę, zaś powiatowy wówczas Słupsk z powiatowym Kremieńczukiem (po rosyjsku zwanym Kremieńczukiem). W 1975 roku w naszym podziale administracyjnym zaszły istotne zmiany — Słupsk awansował do roli stolicy nowego województwa, Koszalin zaś włączył do połowicy swoich dawnych terenów — a w nadnieprzańskim Połtawszczyźnie nie tylko nie zaszły żadne zmiany w podziale administracyjnym, ale nie zmieniła się także temperatura przyjacielskich uczuć dla obydwu miast i obydwu województw Pomorza środkowego. Połtawa utrzymuje ścisłe związki i z Koszalinem i ze Słupskiem.

W truskawkach mróz, wśród zamieci śnieżnej, jakiej u nas się raczej nie spotyka, za to gorąco i serdecznie, chlebem i solą podawaną na wierzchu ukrainiejskim rękawiczki i słowa, od których zdawało się, iż śnieg taje — witano delegację słupskich dziennikarzy w Połtawie. W czasie swojej praktyki dziennikarskiej tu i ówdzie w świecie już zdążyłem być — stosunek do przyjeżdżających wszędzie na ogół bywa życzliwy. Jednak tego, co nas spotkało na ukrainiejskiej Połtawszczyźnie nie da się z niczym porównać. Gościnność, przyjaźń, otwartość — to stanowczo zbyt słabe słowa, żeby przy pomocy zilustrować uczucia, jakie nam okazywano. Ty le serdeczności w słowach, gestach, w całej postawie, co u połtawian, z którymi mieliśmy okazję się spotkać — od przedstawicieli wojewódzkich władz politycznych do mieszkańców małych siół nad Dnieprem — nie doznałem nigdy. I to jest to, co naszej dziennikarskiej, a więc siłą rzeczy nastawionej na chłodne poszukiwanie faktów wyprawie — dodało wiele nie planowanych, powiedziałbym pozaprofesjonalnych elementów. Takich chociażby jak otwarte przed nami na oścież domy, jak gotowość podzielenia się najbar dziej osobistymi sprawami, kłopotami i radościami, jak pełne zrozumienie okazywane dla naszych kłopotów i życzliwość, aby udało nam się je pokonać.

Nie chciałbym w tym krótkim komentarzu uprzedzać tego, co winien jestem Czytelnikom z tej wyprawy: rzetelnego obrazu życia współpracy z nami, liczącego się obywateli radzieckiej Ukrainy. Jednakże mając za sobą dopiero wczoraj zakończoną dzieśń podróż po Połtawszczyźnie nie jestem w stanie uciec od kilku najbar-

dziej natarczywych refleksji ogólnych.

A więc pierwsza, podstawowa konstatacja to ta, iż tak bardzo mało wiemy o życiu naszych wschodnich sąsiadów, mimo przynależności do tej samej rodziny państw socjalistycznych. Po niedobrych doświadczeniach okresu forsowania w naszej propagandzie przesadnie rozjaśnionego obrazu życia w Związku Radzieckim, nastąpił potem okres zaniechania wszelkiej głębszej informacji. Zwłaszcza takiej, która pozwoliłaby nam w większym stopniu korzystać z doświadczeń państwa, które jako pierwsze w świecie podjęło się gruntownej przebudowy stosunków społecznych. Wszelkie obawy — jakie można było dostrzec w latach siedemdziesiątych — iż przybliżanie doświadczeń radzieckich mogłoby prowadzić do podejrzeń o próbę mechanicznego naśladownictwa, bez wniesienia w istotę różnic uwarunkowań — były niewątpliwie bezpodstawne. Wiedzieć, znać, to wcale jeszcze nie znaczy mechanicznie przenosić. Natomiast nie ulega wątpliwości, że brak znajomości doświadczeń, jakie mają za sobą nasi sąsiedzi prowadzi do niejednokrotnego do tego, iż wielkim kosztem wyważaliśmy otwarte przez innych drzwi. I koszt ten do dziś obciąża nasze konto — zarówno w sensie ekonomicznym jak i społecznym. Jednocześnie brak, czy choćby niedostatek informacji z reguły prowadzi — i tak było w tym przypadku — do powstawania mitów, stereotypów niewiele mających z rzeczywistością wspólnego.

Z tej refleksji wynika następna: niektórych rozwiązań systemowych w warunkach państwa socjalistycznego nie da się wyeliminować z praktyki bez szkody dla całego systemu. Dowodem na to jest m. in. współzawodnictwo pracy — tam stanowiące podstawowy czynnik mobilizacji do

sprawnego działania i ciągłego doskonalenia, u nas w ostatnich latach całkowicie zaprzeczono.

A przecież sprawa wydaje się być oczywista i zrozumiała dla każdego. Człowiek, jako jednostka społeczna, aby się prawidłowo rozwijał i doskonalił musi od czuć różnicne bodźce, w tym również pozamaterialne. W systemie kapitalistycznym podstawowym bodźcem jest oczywiście pieniądź, który po zwala następnie zdobyć wszystko inne, także ludzki szacunek, bowiem bogactwo stanowi tu podstawowe kryterium wartości i wartości. Możliwości ludzi bogatych w tym systemie są wprost proporcjonalne do ich bogactwa, w tym również możliwości zaspokojenia psychologicznie uzasadnionej potrzeby społecznego uznania własnej wartości. Ze z tym się wiąże rozliczne zagrożenia, które niesie z sobą praktyka oparta o bezwzględna konkurencję prowadzącą do totalnego eliminowania konkurentów — to zupełnie inna sprawa i inny temat. Natomiast niezaprzeczalnym faktem jest, iż w każdym systemie społeczno-ekonomicznym, w każdej epoce człowiek chciał i chce być doceniany za to co robi ponad przeciętność. W ustroju socjalistycznym, w którym rola pieniądza jest inna, a co za tym idzie — inne są możliwości jego gromadzenia, a także stosowania jako środka zdobywania ludzkiego szacunku — stworzony został inny system stymulowania i wynagradzania pracy ponad przeciętną po ziom.

Oczywiście, tu polskiemu czytelnikowi mogą się nasuwać analogie niezbyt korzystne, zwłaszcza jeżeli skojarzy sobie to hasło z treścią filmu „Człowiek z marmuru”. I tak właśnie najczęściej powstają owe mity. Ale to, co było nam dane zobaczyć w kilkunastu zakładach pracy i ko-

chozach Połtawszczyzny — nie ma z tymi mitami nic wspólnego. Przyjęcie dobrej roboty i społecznie zaangażowanej postawy życiowej za główne kryterium wartości — jeżeli stworzy się odpowiedni system adekwatnej i sprawiedliwej oceny — może być lozomotywą postępu społecznego i ekonomicznego, i to nie w mniejszym stopniu niż gdzieś indziej środki materialne. Choć prawdę mówiąc i tu są one przyznawane wprost proporcjonalnie do wkładu pracy. Ale to, czym ponad lepsze wynagrodzenie zostanie usatysfakcjonowany autor każdej dobrze wykonanej, a zwłaszcza najlepiej wykonanej pracy, ma stokroć większe znaczenie psychologiczne.

I tu aż się ciśnie uwaga: dlaczego taki kraj jak nasz, gdzie społeczny szacunek i uznanie otoczenia zawsze wyżej było cenione niż dodatkowy pieniądź — w pewnym momencie zupełnie zgubił ten ważny element pedagogiki społecznej: ocenę wale pracy w zakładzie i działalności poza nim, ocenę według tego czy dając coś poza obowiązki zawodowymi swemu społeczeństwu czy nie?

Były oczywiście błędy i wypaczenia i na tej drodze, m.in. w postaci prymitywnej organizacji współzawodnictwa pracy i manipulowania ocenami. Ale to przecież nie wina systemu, tylko tych, którzy go prymitywnie lub tendencyjnie źle wprowadzali w życie. Zamiast odrzucać system, należało go naprawiać i doskonalić. Teraz w naszym kraju trudno będzie znaleźć system bodźców skłaniających zwłaszcza młodych ludzi do lepszej niż przeciętna pracy.

A przecież od tego, ilu ludzi będzie wykazywać zainteresowanie lepszą niż przeciętna pracą, zależy nasza przyszłość. I na zakończenie — trzecia ogólna refleksja z ekskursji na Połtawszczyznę: oby i nam się kiedyś udało z taką pełnią miłością gromadzić, przechowywać i wykorzystywać dla wychowania młodego pokolenia wszystko to, co wiąże się z historią każdej wsi, każdej osady, każdego miasteczka i miasta — jak to się udaje połtawianom. To gromadzenie pamiątek, nie tylko tych mitych, stanowi fascynującą lekcję historii, daje pełny obraz ludzkich losów; pozwala bezbłędnie oddzielić ziarno od plew, pozwala młodym wybierać właściwą drogę. Jaka szkoda, że nie dostrzegaliśmy tej szansy emocjonalnego wiązania kolejnych roczników młodych Pomorzan z miejscem swojego urodzenia przez umożliwienie dostępu do jego przeszłości. Myślę, że powinniśmy zacząć nadrabiać to przeoczenie.

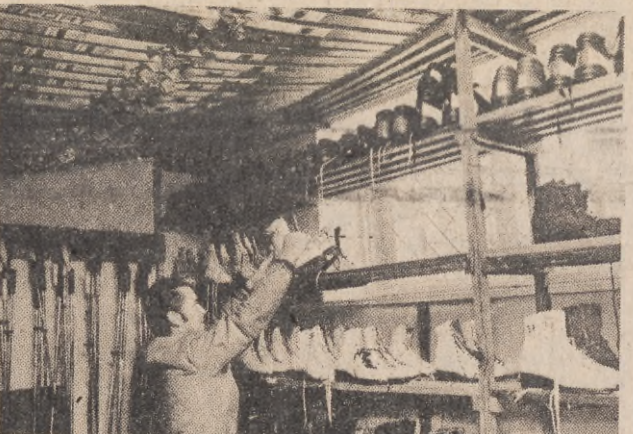
Christian Wójcicki



W Urzędzie Stanu Cywilnego w Mławku odbyła się uroczystość 50-lecia związku małżeńskiego Jana i Zuzanny Brzozowskich, mieszkańców Wolcy Wielkiej. Oprócz wielu lat był pracownikiem PGR, ona — zajmowała się domem. Dziś ich rodzina liczy 12 dzieci, 29 wnuków i 4 prawnuków. Jubilat otrzymał upominki i wiele serdecznych życzeń, do których dołącza się również redakcja „Zblizenia”.



Jakość mleka zależy w znacznym stopniu od pracy zlewni. W zlewni w Rokicach pracuje Stanisław Szada.



Zakończyły się już ferie zimowe, wyjątkowo udane. W Sławnie Szkoła Podstawowa nr 2 zapewniła swym uczniom dostęp do nart, łyżew i innego sprzętu zimowego. Magazynem opiekuje się nauczyciel wychowania fizycznego Mieczysław Sliwiński.



Nowe osiedle domków jednorodzinnych powstaje w Mławku przy ul. Kolejowej. Na nieszczęście nie odwołano wcześniej terenu; w następstwie podczas odwilży zostały zalane piwnice. Straż pożarna musiała pomagać właścicielom, ale nie mogła poradzić sobie z mrozem, który wkrótce przekształcił wodę w piwnicach w lód.



Zakład Wdrożeń Kompleksowych w Słupsku wytwarza elementy wystroju wnętrza dla zakładów gastronomicznych. Poszukiwane są szczególnie myśliwskie motywy.

Fot. JAN MAZIEJUK

... I Z DALEKA

Szwedzka specjalność — podatki

Proszę podać, jak często spędza pani noc w mieszkaniu małżonka? (Ile razy w tygodniu, miesiącu, roku). Proszę podać, czy małżonek spędza również noc w pani mieszkaniu? (Ile razy w tygodniu itd.).

Cytat ze sprawy rozwodowej? Quiz? Ankietę? Tak, ankietę, lecz nie taka sobie zwyczajna, lecz... podatkowa. Kilka tysięcy zamężnych Szwedek otrzymało w tym roku do wypełnienia formularz o powyższej treści. Urząd skarbowy pragnął bowiem dowiedzieć się, czy szwedzkie pary nie nadużywają pewnych tułajczych przepisów i nie wymigują się od płacenia podatków. Powodem niepokoju fiskusa jest wzrost w ostatnim okresie liczby fikcyjnych rozwodów (podaje się liczbę ponad 100 tys.). Z jednej strony przyczyniają się one do zmniejszenia wymiaru podatków płaconych przez osoby pozostające w separacji, z drugiej zaś osoby takie korzystają ze zwiększonych zasiłków, np. na dziecko. Dla wielu przeciętnych Szwedów wniosek nasuwa się sam: bardziej

opłaca się oszukiwać niż pracować w sytuacji, kiedy wynagrodzenie za podjęcie np. dodatkowej pracy niemal w całości pochłonięte zostaloby przez podatki. Dla władz podatkowych natomiast wniosek jest jeden: zaostriżyć kontrole.

Wysokość podatków w Szwecji a także skuteczność służb skarbowych są nie tylko przedmiotem ciągłych komentarzy, wiecznych narzekan i wielu cierpliwych uwag. Mają one także istotne konsekwencje natury społeczno-ekonomicznej. Ingmar Bergman, Björn Borg, czy Frida Lundström z zespołu „Abba” to tylko najbardziej znane przykłady słynnych Szwedów, którzy zdecydowali się osiedlić i pracować za granicą dla uniknięcia horrendalnych podatków. Zjawisko to zaczyna wszakże przybierać masowy charakter. Co roku zwiększa się liczba wykształconych specjalistów różnych branż, ludzi biznesu, którzy w największym rozkwicie swych możliwości opuszczają zrazo swój kraj, by gdzie indziej, tak samo dobrze pracując, zarobić po prostu więcej. Nie jest to emigracja na zawsze. Po kilku, czy kilkunastu latach ludzie ci planują powrót i wracają. Najczęściej czynią to tuż przed emigracją, a więc przed opuszczeniem kraju. Liczba tej specyficznej emigracji w uleczone przed podatkami szacuje się na około 200 tys. osób.

Szwedzkie władze podatkowe

we są nad wyraz czujne i nie tak łatwo wywieść je w pole. Za podanie nieprawdziwych danych, ukrycie części dochodu, czy nawet złożenie deklaracji podatkowej po terminie grożą wysokie grzywny. Od czasu do czasu jednak władze same niejako „podkładają się” i wówczas „nagorliwość” urzędników skarbowych staje się przedmiotem kaskadnych reportażów bądź felietonów prasowych.

Materiału do takiego reportażu dostarczyła niedawno gazeta „Aftonbladet” przedstawicielka najstarszego zawodu świata, 46-letnia mieszkanka Malmö o niewyszukanym imieniu Laila. Urząd skarbowy obliczył, iż z tytułu wykonywania zawodu (od 30 lat zresztą) Laila winna jest państwu 217 tys. koron. Cóż! Korona to takie dictum uniosła się gniewem — To niebywałe, to po prostu podwójna moralność! — wykrzykiwała reporterowi „Aftonbladet”. Oficjalnie potępić naszą profesję, a jednocześnie czerpać z niej zyski! Zakładam sprawę sądową, a jeżeli przegram, zarejestruję się oficjalnie jako

„Laila-Sex-Shop”. Będę działać jak inni przedsiębiorcy a ponadto korzystać ze wszystkich udogodnień socjalnych. Ale nie przegram łatwo. Każde poborcy, który zjawi się u mnie w celu ustalenia wysokości moich dochodów, łatwo narazi się na określenie stręczyciela. Oni o tym wiedzą i muszą się tego bać!

Sprawa widziana od strony urzędu finansowego rzeczywiście nie jest prosta. Jakkolwiek w 1982 r. uznano prostytucję za zawód, z którego dochody tak jak z każdego innego winny być deklarowane, to jednak istnieje tu stosunkowo duży błąd prawdopodobieństwa nadużyć. System podatkowy bowiem, mimo całej swojej precyzji, surowości i skomplikowania wielu czynności zaw sze zawierać musi element subiektywny. Jest nim po pierwsze osobista deklaracja podatnika; gdy zachodzi podejrzenie co do jej prawdziwości, w system wkracza nie maszyna, nie komputer, lecz znowu człowiek. Tyle, że z drugiej strony barykadą jest nim urzędnik skarbowy, znany też od stuleci pod nazwą poborcy podatkowego. To również jeden z najstarszych zawodów świata. Jak widać są zawody i konflikty, których nie zastąpi ani nie zniweluje żaden system, choćby tak do skonały jak szwedzki system podatkowy.

MAREK BIERUT



Fot. J. Maziejuk

Kolejne przeszkody do wzięcia

Czytając notatki z Zakładowej Konferencji Sprawozdawczej PZPR, która w ubiegły czwartek odbyła się w Zakładzie Obuwia (PZPS „Alka” w Siupsku, zwróciłem uwagę na trzy zdania:

„Coraz lepiej funkcjonują mechanizmy reformy gospodarczej. Coraz krótsze są kolejki po wiele artykułów spożywczych i przemysłowych. Na półkach jeszcze nie dosyć, ale coraz więcej”.

Dlaczego je zanotowałem? Pomyślałem, że chyba po to, aby się zastanowić, jakie odniesienie mają one do załogi, która składa się w „Alce” z 4,3 tys. pracowników. Co dnia są zajęci pracą przy produkcji obuwia. Buty z „Alki” sprzedaje się w całym kraju, chodzą w nich miliony Polaków. Na obuwie, nie tylko zresztą z „Alki”, ludzie często narzekają, bo nieładnie lub niewygodne. Ale przed sklepami, gdzie się je sprzedaje, rzeczywiście kolejki nie widać. Czy my, klienci, kupowaliśmy buty bez ustawiania się w kolejki, gdyby zabrakło tych, które robią w „Alce”? Myślę, że nie! A więc zacytowane na wstępie zdania mają konkretnie pokrycie w tym, co załoga „Alki” robi.

Z uchwałą w rękę

Do partii należy co dzień śląski pracownik — ogółem

jest w niej 435 towarzyszy. Na Zakładowej Konferencji Sprawozdawczej byli reprezentowani przez 48 delegatów, wyłonionych przez 13 oddziałowych organizacji partyjnych.

Sprawozdanie z działalności komitetu zakładowego odczytał jego I sekretarz, Stanisław Powroźnik. Zaraz potem Zbigniew Dembiński przypomniał tekst uchwały, podjętej w tym samym gronie delegatów, na Zakładowej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej 23 listopada 1983 roku. Fakt ten miał dla mnie, jako autora tej relacji duże znaczenie. Skłonił mnie do postawienia sobie dwóch pytań: co postanowili towarzysze z „Alki” działać — co udało im się do tej pory zrobić?

Odpowiedzi szukałem zarówno w sprawozdaniu, jak również w dyskusji. Co z tego wynika?

Dwa lata temu postanowili towarzysze w „Alce” zwiększyć liczbę członków i kandydatów partii. Przyjęli 7 kandydatów. To za mało — stwierdzono na konferencji. Bo organizacja partyjna systematycznie odrywała zaufanie pracowników. „Aczkolwiek powoli — powiedział na ten temat Stanisław Powroźnik — ludzie zaczynają do partii przychodzić”. Liczba skarg na stołki, panujące w wydziałach, zmniejszyła się z 41 dwa

lata temu, do 8 w ubiegłym roku.

Organizacja związkowa i samorząd pracowniczy. Towarzysze z „Alki” postanowili uważyć, żeby te ogniska robotniczej demokracji mogły korzystać z pełni przyznanych im praw. Czy to się powiodło?

Owszem, do organizacji związkowej należy 980 pracowników. Wspólnie z Radą Pracowniczą była ona inicjatorem wprowadzenia zmian w systemie placowym oraz premii motywacyjnych, które zależą od ilości i jakości produkcji. Zmiany te zostały uznane za korzystne przez załogę i miały dobry wpływ na wykonanie zadań przedsiębiorstwa. To niemałe osiągnięcie! Warte naśladowania w innych zakładach.

Ale nie brakuje kwestii, nadal skłaniających do zadumy. Do organizacji związkowej nie należy jeszcze aż ponad 200 członków partii. Dlaczego? Na to pytanie nie padła odpowiedź. A nie powinno jej na konferencji zakładowej zabraknąć! Nie, nie myślę, że wszyscy towarzysze, jak na rozkaz, muszą się zapisać do związku. Ale komitet zakładowy — moim zdaniem — powinien dośledzić przyczyn, którymi się ci towarzysze kierują. Z analizy tych przyczyn — i to w całości — nie wykluczone — mogą

wyniknąć wnioski do dalszej pracy nie tylko wszystkich oddziałowych organizacji partyjnych, lecz także dla administracji zakładowej, kadry inżyniersko-technicznej itd. Należy się o to pokusić tym bardziej, że dalsze umacnianie i rozwój organizacji związkowej zaliczono, w uchwalonych na konferencji sprawozdawczej wnioskach, do głównych zadań całej POP w „Alce”.

Co jest kwestią odwagi?

Ubiegłoroczne zadania produkcyjne załoga „Alki” wykonała z nadwyżką. Na rynek krajowy i na eksport wysłano stąd ogółem 4,7 mln. par butów. Ale sytuacja na rynku, która poprawiła się m.in. dzięki rezultatom, osiągniętym w „Alce”, powoduje, że coraz bezwzględniej egzekwują handlowcy kryteria jakościowe, dotyczące obuwia. Nie ma rady, trzeba im sprostać.

Od 1 stycznia br. handel przestał przyjmować obuwie — jak to nazwano na konferencji — „poza wyborem”, a więc o obniżonej jakości. „U nas mamy około 250 tysięcy par takiego obuwia — poinformował dyrektor, Piotr Demidowicz — Tyle wystarczy, żeby zbankrutować! Łatwo zrozumieć, że w tej sytuacji poprawa jakości produkcji stała się dla załogi i przedsiębiorstwa kwestią na miarę: być albo nie być.

Zbigniew Dembiński z Głównym Biurem w Włocławku, które od dwunastu lat pracują „non-stop” — na trzy zmiany. „Brakuje czasu na gruntowniejszy remont — uskarżał się — i nic dziwnego, że wtryskarki często się psują, powodując liczne przestoje”.

W styczniu br. było w „Alce” sporo trudności. Planu produkcji nie wykonano. Zabrakło 7 tysięcy par butów. Nie mówiono o tym na konferencji, lecz rozmawiano w jej kuluarach. Niesłusznie!

Większość pracowników „Alki” — jak dowiedziałem się m. in. od przewodniczącego organizacji związkowej, Józefa Michalewicza — nie otrzymała z tego powodu premii motywacyjnej. Jej wypłatę — zresztą zgodnie z regulaminem — wstrzymano do czasu, kiedy zostaną nadrobione zaległości.

To prawda, że do tej pory część zaległości już odrobiono. Ale — moim zdaniem — nie upoważnia to do przemilczenia tej kwestii. Związkowa na Zakładowej Konferencji Partyjnej. Dlaczego nie wykonano styczniowych zadań? Czy i kto zawinił? Ustalenie miarodajnych odpowiedzi na te pytania i przedstawienie ich delegatom było — jak uważam — konieczne. Po to, żeby wobec tej kwestii mogli zająć własne, partyjne stanowisko, a na-

stępnie przedstawić je całej załodze. Pracownicy „Alki” z pewnością na to czekali. Szkoda, Unikaniem drażliwych spraw czy tematów nie buduje się autorytetu partii, ani jej członkom.

Gdy się tylko gada

Jak bardzo potrzeba w partii odwagi w rozpatrywaniu każdej sprawy, która pracowników dotyka lub martwi, mówi na konferencji kilku towarzyszy. Adolf Dołotko miał pretensje do władz, że nie dbają o porządek w mieście, do handlowców, że w wielu sklepach nie potrafią sprawnie obsługiwać klientów, do mieszkańców niektórych osiedli, bo nie dbają o swoje obejście i nie ich to nie obchodzi, jak widać, niszczone ściany i kontakty elektryczne w klatkach schodowych. „Niewiele działamy — przestrzegali — jeśli skończy się na gadaniu”.

Bywa — o czym napisano w sprawozdaniu komitetu zakładowego — że ten lub ów pije w „Alce” wódkę podczas pracy, albo ją opuści bez uzasadnionego powodu. Słowem nie brakuje przykładów lekceważenia dyscypliny. Są kwestie, o których wszyscy plotkują, lecz nie mogą doczekać się rozstrzygnięcia. Swoją pogląd na ten temat wyraziła Teresa Rzemkowska:

— Mamy w zakładzie około 1500 pracowników tzw. administracyjnych. I stale się tylko gada, że jest ich za wiele, po mawiając wszystkim, jakoby tworzyli swoiste „aleje zaszużonych”. Uważam, że dla wielu są to opinie krzywdzące. Dlatego też nasza OOP podjęła uchwałę, w której domaga się ustalenia, o ile pracowników należy administrację zmniejszyć i nie zwlekać z decyzjami w tej sprawie.

Sądząc, że Teresa Rzemkowska ma rację. W partii nie wolno stronić od podejmowania spraw, które leżą ludziom na sercu, bo ich lub też sta wiają w dwuznacznej sytuacji. Myśl tę dedykuję wszystkim towarzyszom z „Alki”. Niezależnie od tego, czy działają w komitecie zakładowym, w organizacji związkowej, Radzie Pracowniczej, czy też pełnią kierownicze funkcje w przedsiębiorstwie. Wyraża ona bowiem również szanse, jaką mają do wygrania na rzecz partii w swoim przedsiębiorstwie w czasie następnej kadencji. Wobec obecnej kadencji swych władz partyjnych. Myśl tę zresztą mieli chyba sami na uwadze, skoro w sprawozdaniu komitetu zakładowego napisali: „Zadaniem naszym jest walczyć o lepiej, kiedy jest źle i strasznie złe, kiedy jest dobrze. Samozadawanie powinniśmy się wystrzegać”. Czyż nie w jedynie większej ostrości spojrzenia na sprawy, które załogę obchodzą.

LUDEWIK LOOS

Rzeczywistość nie znosi próżni

c.d. ze str. 1

Przez kilkanaście lat pracowałem w związkach branżowych. W czasach „Solidarności” potępiono tę całą działalność w czambuł. A przecież nie wszystko było złe — te związki miały znaczny dorobek. Poszedł w niepamięć. Wydawało mi się to niesprawiedliwe, dlatego nie chciałem więcej włączać się do jakiegokolwiek działalności.

Jedni zawiedli się na związkach branżowych, drudzy na „Solidarności”. Niektórzy na przewodniczących, inni na programach... Najłatwiej spać mosty i do niczego ręki nie przykładąć. Jestem zdecydowaną przeciwniczką biernej roli środowisk, które mają prawo do kształtowania aktywnych postaw społecznych nie potrafią wyjść poza własne kompleksy i... lenistwo. Jak bowiem iść w twórczą postawę ludzi, którym brakuje wyobraźni do ulepszenia życia na własnym po-

dwórku (o świecie już nie wspomnę)? Do tego, co było dobre w tradycji związkowej — nie przyzna się żaden z nowych działaczy związkowych. Zastanawiam się — skąd wziął się w tym środowisku strach przed analizą błędów w działalności byłych związków zawodowych? Kiedy pytałem — dlaczego nowe związki znowu startują od zera, a nie korzystają z dorobku poprzedników, odrzucając — co złe, rozwijając — co dobre — moi rozmówcy byli zdeprimowani. Trafiłem na temat tabu, dla którego trudno znaleźć uzasadnienie. Myślę, że nasza niemała narodowa boleść jest brak ciągłości tradycji, grzebanie dorobku ludzi i organizacji, które przestały być na świecie.

Sądząc, że nikomu dziś nie zależy na odbudowywaniu fikcyjnych związków zawodowych, które nie mają nic do powiedzenia. Wiem, że działacze kulturalni to ludzie

podatni na stresy. Trudno się jednak pogodzić z dziwacznie pojmowaną autocenzurą w sprawach związkowych. Prawie wszystkim przewodniczącym zadałem pytanie — o co chcą wojować? Kiedy po raz kolejny usłyszałem sloganowe hasła o „obronie żywotnych interesów” — zwątpiłem w autentyczne zainteresowanie sprawami żywych ludzi... Skrzywdziłabym jednak działaczy posądzając ich o złą wolę. Raczej należy sądzić, że szukają sobie drogi. Dużo w ich wypowiedziach rozterek i wątpliwości. Ze bronią się sloganami...? To coś na kształt asekuracji przed przegraną, bo tej się u nas nie wybacza.

Pora zatem postawić pytanie — jak działacze wyobrażają sobie rozwój ruchu związkowego w placówkach kultury? I tu napotykamy mnóstwo sprzeczności. Ujawniło je spotkanie związkowców śląskich z przewodniczącym Federacji Związków Zawodowych Pracowników Kultury i Sztuki — Janem Butkiewiczem.

Wystąpienie przewodniczącego nie zachwyliło słuchaczy. Deklarował bliżej nie określony pomoc terenowi, zamiast mówić o generalnych zamierzeniach Federacji. Zbigniew Janczewski z Zespołu Szkół Muzycznych uznał, że Federacja, jak dotąd, nie spełnia oczekiwań związkowców z terenu:

— Każdy ze związków zawodowych skupiających pracowników określonych instytucji kulturalnych rządzi się specjalnymi prawami. Nie ma takiej wspólnoty interesów, które na przykład łączą

budowlanych czy sprzedawców. Federacja skupia zatem ludzi o różnych dążeniach.

Być może przesadą jest stwierdzenie o różnych dążeniach. Zresztą różnych to nie znaczy rozbieżnych i przeciwnych. Ale coś w tym jest. Może rzeczywistość swą działalność powinna Federacja zaczynać od przedstawienia programu rozsądnego i do zaakceptowania przez wszystkich, a przynajmniej większość, np. walki o prestiż za wodowy pracownika kultury. Skoro zabrakło takiej koncepcji — działalność związku wa rozmyśla się na wiele drobnych, mało istotnych po sunięć.

Od Federacji oczekują więc działacze czegoś więcej, niż deklaracji pomocy. Aleksandra Dubnowska-Lopus z Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej podzieliła się ze mną własnymi refleksjami:

— Byłam zzytywana tym, że przewodniczący opowiada na spotkaniu w Siupsku o kłopotach kadrowych. Brałam udział w pracach Federacji i uznałam, że ten etap dawno powinna mieć za sobą. Przyspaliśmy do Federacji dość wcześnie, bo uznaliśmy, że im nas będzie więcej, tym nasz głos będzie donośniejszy. Uważam tę decyzję za słuszną, jednak od Federacji oczekuję przede wszystkim inicjatywy. Stamtąd powinno wyjść hasło do wspólnej dyskusji nad problemami do tyżycy wszystkich pracowników kultury. Jeżeli tam zabraknie myśli i aktywności — taka centrala nie będzie nikomu potrzebna.

Tyle, że rozrzuć oczekiwania wobec tego, czym zająć się

winna Federacja jest trochę zastanawiający i poniekąd dostarcza wglądu w stan ducha i rozterki lokalnych działaczy ośrodków kierunków po czynach związków w kulturze. Zygmunta Gręźlikowskiego z Muzeum Pomorza Środkowego uznał, że reprezentowana przez niego związek powinien jak najszybciej przystąpić do Federacji, by generalnie nie ochwalać problemów odzieży ochronnej i plac w muzealnictwie. Czesława Boberka z Wojewódzkiego Domu Kultury stwierdziła, że obojętne zaufanie załogi do rzetelności związków zawodowych można tylko przez uczciwe załatwianie spraw poszczególnych ludzi:

— Im mniejsza zależność od Warszawy, tym lepiej — podkreślała. Sądząc jednak, że do wstąpienia w szeregi Federacji może nas skłonić posiadanie przez nią atrakcyjnych ofert wczasowych, wycofanie zagranicznych sanatoriów... Osobiście wolałabym mieć jednak do czynienia wyłącznie ze sprawami naszych pracowników.

Wchodzący w skład władz Federacji Zenon Kulawas z PTL „Tęcza” stał się niejako rzecznikiem jej interesów:

— Nasza Federacja działa dopiero pół roku. Jest potrzebna na to, żeby na szczycie miały kto pilnować interesów zawodowych pracowników rezerwy. Jednolitej koncepcji działania nie ma się co spodziewać w najbliższym czasie. Zalatwiamy jednak konkretne sprawy. To dzięki interwencji Federacji pracownicy upowszechniali uzyskali drugą regulację plac. Teraz debatujemy nad warunkami

wprowadzenia w życie ustawy o instytucjach artystycznych. Wbrew pozorom praca Federacji nie jest łatwa — każdy związek myśli tylko o własnych korzyściach. Par tykularizm jest chorobą, z którą trudno walczyć, a ona skutecznie osłabia wysiłki działaczy.

Ile związków — tyle recept na rozwój. Na odległość jednak widać, że działacze związki szukają wsparcia. Raczej trudno go oczekiwać od borykającej się z kłopotami Federacji. Zenon Kulawas zaproponował, by slupscy związkowcy spotkali się i razem przyszkodowali problemom nartujące całe środowisko. Propozycja spotkała się z niechętnym milczeniem związkowców.

Nieufność i niedowierzanie nagromadziło się sporo. To prawda! Ale czy nie czas uświadomić sobie, że bierność traci się społeczną wiarygodność w czasach wymagających od działaczy operatywności, agresywności, pomysłowości i... pracowitości. Mówienie o sprawach związkowych jest dziś koniecznością, może po prostu wystarczyć życzliwy mediator, który rozłaziłby strach przed otwartą dyskusją, prezentacją obaw i wątpliwości, konfrontacją opinii. Tak, co zobaczy więcej, niż doraźny interes o stereotypowej, bezkonfliktowej, czarno-białej rzeczywistości. Czy znajdzie się ktoś, kto podejmie się tej roli?

JOLANTA NITKOWSKA

Fabryka na działce

Kowalscy z „Kapeny”

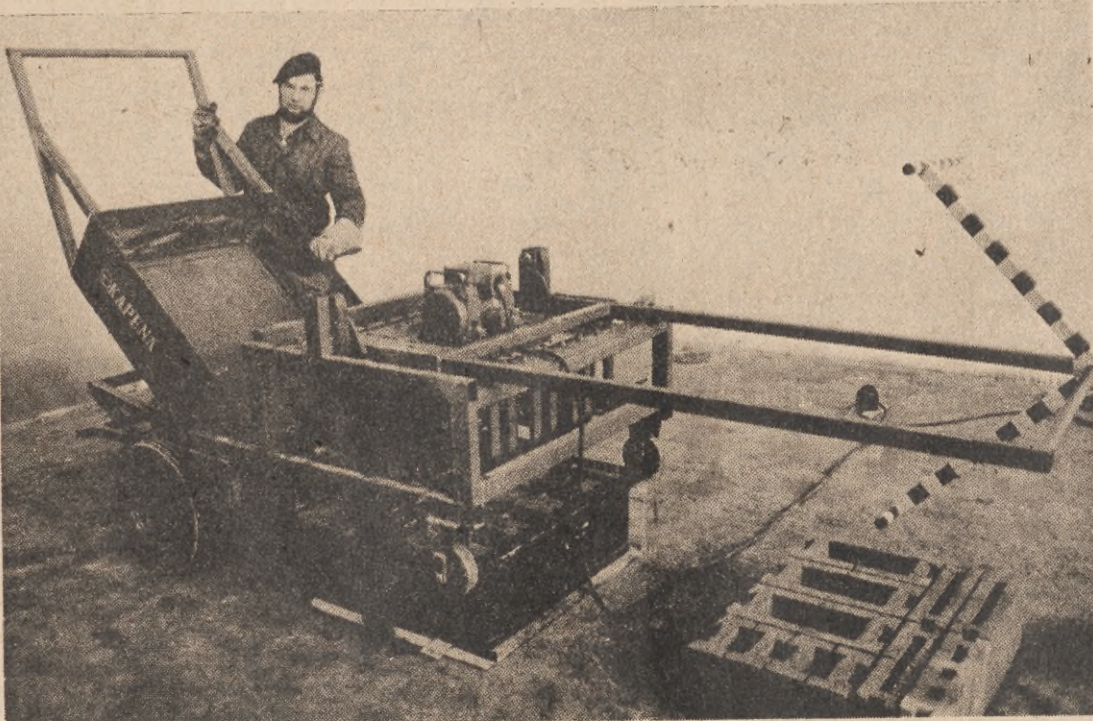
Prowizoryczną dokumentację urządzenia wypatrzyli w czerwcu minionego roku dyrektorzy słupskiej „Kapeny” na Targach Poznańskich, gdzie pomysłodawca wystawił ją w nadziei na znalezienie producenta. Pomysł miał znakomite referencje, ale same referencje to widocznie za mało, by zainteresowało się pomysłem któreś z przedsiębiorstw przemysłu maszynowego budownictwa.

Wprawdzie „Kapena” to firma remontująca czerwone autobusy, ale od czasu, kiedy jej kierownictwo wystarało się o kilkadziesiąt działek budowlanych do podziału wśród robotników, stale rozglądało się za wszelkimi pomysłami, które by uczyniły lepszym los przyszłych inwestorów. Pusta czarka dawała szansę oszczędzenia nie tylko czasu, ale i kieszonki. Teraz — cieszy się dyrektor naczelny „Kapeny” Sylwester Wojewódzki — do piero sypną się chętni na działki budowlane.

Pionierzy

Opracowaniem rysunków roboczych, a potem nadzorem wykonawstwa prototypu zajął się mgr inż. Grzegorz Malicki, zaś kierownik działu narzędziowego, Michał Klimczuk skompletował kilka „złotych rączek”. To oni, słuszarze — Ireneusz Kamiński, Jerzy Zubrzycki, Henryk Kalandyk oraz frezer Stanisław Dąbrowski i spawacz Zbigniew Klüber — wieczorami, po kilku miesiącach wycinali ze stali poszczególne detale konstrukcyjne i montowali urządzenie. Po myśli pustaczarki jest proste, obsługa również, ale za tę prostotę trzeba było płacić długą pracą i precyzją.

Pierwszy egzemplarz gotowy był w listopadzie, wykonał go niemal ręcznie. Inżynier Lendzion zaproszony do obejrzenia tego, co znalazł dotąd z rysunków technicznych, był zachwycony. „Nie spodziewa-



Prostota obsługi, taniość produkcji i nieograniczone możliwości kształtowania drobnowymiarowych prefabrykatów — to najważniejsze zalety tego urządzenia.

Fot. Jan Maziejuk

łem się tak precyzyjnego i szybkiego wykonania”, napisał w podziękowaniu owdzie wykonawcy.

Pierwszy egzemplarz poddał no surowym próbom eksploatacyjnym i ciągle udoskonalano, by pracował bez zacięć, z powtarzalnością zegarka. Obecnie gotowych jest już pięć egzemplarzy, jeszcze w lutym będzie następnych pięć i dyrektor Wojewódzki powiada, że po tej serii informacyjnej — jeśli będą zamówienia — gotowy jest uruchomić produkcję seryjną, obfitą i taną. „Kapena” może także seryjnie wytwarzać dodatkowe oprzyrządowanie, a więc prze różne matryce i stemple oraz — co również ważne — dwa typy specjalnych betoniarów rymnowych, także pomysłu inżyniera Lendziona, które — likwidując pośrednictwo taczki przy zalewaniu form betonem — nie tylko czynią obsługę pustaczarki lżejszą, ale też,

dzięki wysokiej wydajności, czynią ją nieprzerwaną.

Zarabiać pieniądze czy oszczędzać wydatki?

„... jeśli będą zamówienia”, troska się dyrektor Wojewódzki, choć dobrze wie, że nie ma co się martwić o chętnych. Pierwsi gotowi będą kupić to urządzenie prywatni wytwórcy materiałów budowlanych. Wprawdzie mało kto pustaczarkę dotąd widział, lecz oni właśnie wiedzą o niej prawie wszystko i kręcą się koło zakładu. Dziś trudno jest cze mówić o cenie egzemplarza; te prototypowe kosztowały po kilkaset tysięcy, ale przy produkcji seryjnej cena spadnie wielokrotnie. Lecz i przy „prototypowej cenie” — jak obliczył inż. Karol Laskowski, zastępca dyrektora „Kapeny” — dzięki wydajności, prostocie obsługi, no i wysokiej — obecnie cenie wszelkich prefabrykatów, urządzenie to w

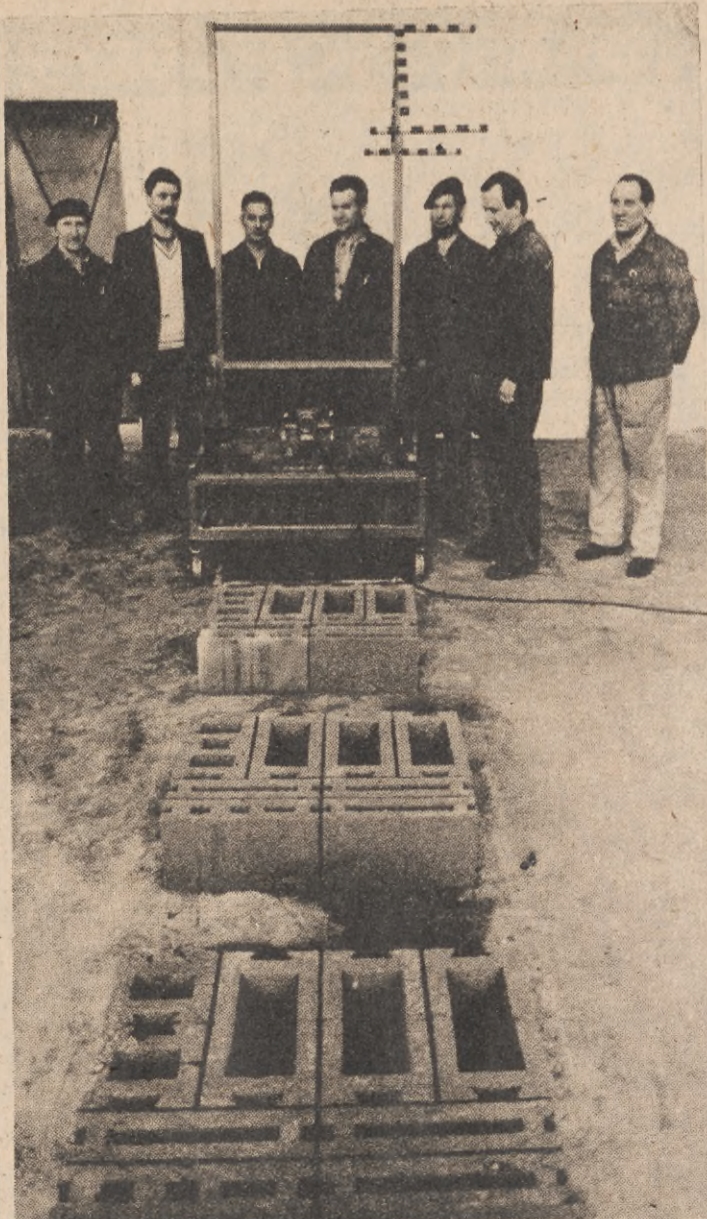
rękach prywatnego wytwórcy zamortyzuje się w ciągu miesiąca pracy.

W „Kapenie” postanowiono jednak, że maszyna ta powinna służyć nie zbijaniu fortun, ale wspieraniu taniego budownictwa. Służyć będzie tym, którzy gotowi będą sami produkować materiały budowlane na własne potrzeby, a nie — na sprzedaż. A więc zrzeszeniom i małym spółdzielniom budownictwa jednorodzinnego, zespołom rolników, indywidualnym inwestorom.

Stawka na powszechność

Dla indywidualnych inwestorów koszt nabycia pustaczarki byłby zbyt dużym i całkiem niepotrzebnym wydatkiem. Jakże sens nabywać urządzenie potrzebne kilka dni?

Idea dyrektora Wojewódzkiego jest zorganizowanie, najpierw w województwie słupskim, później w całym kraju



Współtwórcy pustaczarki „Mini-33”. Stoją od lewej: Ireneusz Kamiński, Grzegorz Malicki, Jerzy Zubrzycki, Michał Klimczuk, Zbigniew Klüber, Stanisław Dąbrowski i Henryk Kalandyk.

sieci wypożyczalni tych maszyn. Wypożyczalni, które za rozsądną opłatą udostępniałyby je wszystkim budującym się. Dysponujące kilkoma czy nawet kilkunastoma maszynami mogłyby powstać przy zakładach gospodarki mieszkaniowej, wydziałach budownictwa, czy komórkach koordynujących rozwój budownictwa indywidualnego. We wsiach wypożyczaniem mogłyby zająć się seesy...

Kto się powinien troskać?

Jest to idea godna poparcia Mieszkańców, a właściwie ich brak stał się polskim problemem numer jeden. Od dawna wiadomo, że budownictwo indywidualne może jego roz-

wiązanie znakomicie przyspieszyć. Tyle że — jak dotąd — poparcie dla tej formy budownictwa kończyło się często na deklaracjach i... kolejnymi falami podwyżek cen materiałów budowlanych, sprowadzając cały system zachęt do ab surdu.

Teraz jest urządzenie zdolne do indywidualnego budownictwa upowszechnienia i potanie. „Kapena” zrobiła swoje i będzie je robić nadal. Ale reszta zależy od władz administracyjnych, w pierwszym rzędzie Słupska i województwa słupskiego. One powinny skontrolować kapenowski pomysł tak, by doprowadzić te małe fabryki wprost na działki budowlane, najkrótszą, najszybszą i najtańszą drogą.

ANDRZEJ RADZIK



że ojczyna potrzebowała nas. Potrzebni byli jej ludzie w milicji.

25 marca 1945 roku zameldował się na posterunku MO w Konarzynie, a 30-go został już wezwany do Komendy Powiatowej w Chojnicach i dowiedział się, że ma zorganizować posterunek w Nowej Wsi, niedaleko Przechlewa.

Do pracy w milicji zgłosili się zaraz bracia Józef i Zygmunt Bienkowski, Władysław i Józef Weislowie, Leon Ginter. Zastępca komendanta został Władysław Kasprzak, najbliższy kolega Brzozowskiego.

Z tego okresu pan Władysław najchętniej wspomina, jak ujęto Niemca, który podawał się za polskiego osiedleńca w Nowej Wsi. Od razu wydał się im podejrzany, więc on jako komendant posterunku polecił go zatrzymać i od prowadzić do komendatury radzieckiej w Przechlewie.

Zadanie to miał wykonać Józef Bienkowski. Kiedy prowadził podejrzanego, ten niespodziewanie wyciągnął zza cholewy pistolet i terroryzował

ce później zarządzono następna reorganizację. Posterunek w Brzeziu połączono z posterunkiem w Białym Borze i na Władysława Brzozowskiego spadła teraz jeszcze większa odpowiedzialność.

— Do Brzezia i Białego Boru przybywali osadnicy wojskowi — mówi. — Funkcjonariusze MO udzielali im pomocy w zagospodarowywaniu się. Ochraniali ich gospodarstwa przed rabunkami, a tak że gospodarstwa jeszcze nie zajęte. Praca w milicji była wtedy naprawdę niełatwa i niebezpieczna.

Dużą rolę w tym czasie odgrywała jednak komendatura radziecka. Odpowiadała ona za przetrwanie ważnych obiektów przemysłowych i gospodarczych.

W kwietniu 1946 roku Władysław Brzozowski został skierowany na kurs śledczy. Z czteromiesięcznego pobytu w szkole podoficerskiej w Bydgoszczy pozostało wiele wspomnień. Brał udział m.in. w likwidacji grasujących na ziemi bydgoskiej różnych

magali mu w tym Czesław Kończak, który został jej pierwszym komendantem. Pod koniec 1946 roku organizacja ta liczyła już 40 członków i przy czyniła się do wykrycia nielegalnych bimbrowni, garbarni skór, posiadanej nielegalnie broni.

— Z powodu trudów służby w MO notowaliśmy w tym czasie częste odesłania funkcjonariuszy — mówi pan Władysław. — Nowi musieli przy gotowywać się do pracy w milicji. Doświadczeni członkowie ORMO byli więc szczególnie potrzebni i przydatni.

W grudniu 1949 roku Władysław Brzozowski przeszedł do pracy cywilnej. Najpierw przez kilka lat pracował na stanowisku prezesa w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, w której od stycznia 1946 roku był członkiem Rady Nadzorczej. Następnie trafił do spółdzielczości mleczarskiej. Pełnił też wiele funkcji społecznych. Przez jedną kadencję był sekretarzem Komitetu Miejsko-Gminnego w Białym Borze.

W tym czasie między innymi zbudowaliśmy w czynię społecznym piękny Dom Strażaka, w którym dziś mieści się tak że Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury. Oddano do użytku duży trzydziestorodzinny blok mieszkalny, restaurację. Ulożyliśmy w czynię społecznym wiele metrów chodnika...

Później Władysław Brzozowski pracował jeszcze w kółku rolniczym, a następnie w Spółdzielni Kółek Rolniczych. W październiku 1978 roku przeszedł na zasłużoną emeryturę. Działac społecznie jednak nie przestał. Jest członkiem Rady Nadzorczej GS, sekretarzem OSP, sekretarzem koła ZBoWiD. W zasadzie — nie ma w Białym Borze organizacji, w której by nie działał.

Od 20 września 1945 roku jest stałym mieszkańcem Białego Boru. Mimo że wielokrotnie proponowano mu mieszkanie w Czuchowie, Mławie, Barwicach — nigdy nie zgodził się na przeprowadzkę. Mieszka w miejskim bloku przy ulicy Żymierskiego, w dwóch skromnie urządzonej pokojach, z żoną Anną, którą poznał jeszcze na robotach przymusowych. Oboje cieszą się dobrym zdrowiem, wychowali i wykształcili dwóch synów. Nie żałują, że wtedy w 1945 roku, gdy zatrzymali się na nocleg w Nierostowie, postanowili pozostać na Pomorzu.

— Bardzo stylizyśmy się z Białym Borem i jego mieszkańcami — mówi pan Władysław. — Osiedlałem więc trochę tutaj rodzin, brońmiem przed bandytami. Dziś, kiedy patrzę na nowe domy, asfaltowe ulice, na dzieci uczące się w szkołach — jestem dumny z mojego miasta. Ja takich warunków do nauki nie miałem i z pewnością nie byłoby ich i dziś, gdyby nie Polska Ludowa.

ZBIGNIEW BABIARZ-ZYCH
Fot. Jan Maziejuk

POLSKIE DROGI

Gdyby nie ludowa Polska

To, że Władysław Brzozowski czterdzieści lat spędził w Białym Borze, sprawił przy padek. — Tak, zwykły przypadek — podkreśla. Z roboty w Niemca wracał w marcu 1945 roku przez Łęborz i Bytów do Lublina. Na nocleg zatrzymał się u gospodarza w Nierostowie koło Konarzyn i tak na Pomorzu pozostał do dziś.

Wracał z kolegą — Władysławem Kasprakiem. Po goś-

cinnym przyjęciu i domówieniu się z gospodarzem, że będą mogli zostać na dłużej, zrezygnowali z dalszej drogi w rodzinne strony. Postanowili wstąpić do tworzącego się od działu Milicji Obywatelskiej w Konarzynie.

Dlaczego podjęli taką decyzję? Spodobało się im na Kaszubach, ludzie wydali się do brzy? — Na pewno! — powiada pan Władysław. — Ale przede wszystkim dlatego,

nim funkcjonariusza, następnie uderzył kilkakrotnie w tył głowy, a sam zbiegł do lasu. Dopiero po trzech dniach, przy pomocy żołnierzy radzieckich i funkcjonariuszy MO z Białego Boru, udało się go zapać. Jak się okazało był on nieźle „zasłużonym” oficerem SS.

W czerwcu 1945 roku posterunek MO w Nowej Wsi rozwiązano, bo utworzono większy, w Brzeziu. W trzy miesią-

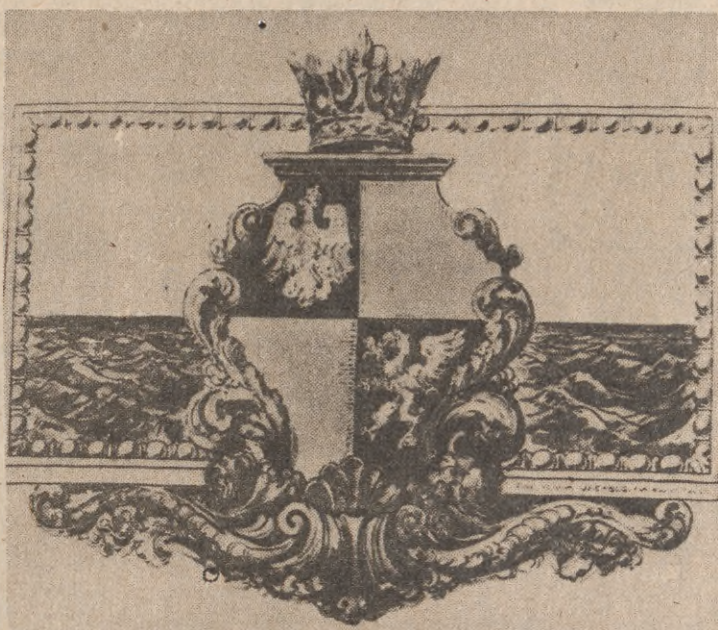
band, w tym bardzo groźnej bandy „Lupaszki”. Na długo zostanie mu w pamięci dzień, w którym zginął por. Wizer, zastrzelony przez bandytów, a kolega p. Władysława z posterunku w Białym Borze — Józef Żurawski został ciężko ranny.

Z Bydgoszczy — powrót do Białego Boru i dalej praca w milicji. Władysław Brzozowski organizował pierwszą komórkę ORMO w mieście. Po-

To za jego „sekreterzowania” w 1950 roku w mieście stanął pomnik wdzięczności żołnierzom polskim i radzieckim, poległym podczas wyzwolenia miasta. Wzniesił go w czynię społecznym członkowie miejskiej organizacji partyjnej.

W 1971 roku został wybrany na przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej w Białym Borze.

— Trzy lata pełniłem tę funkcję — wspomina. — W



R.P. MCXXX.
DNIA 10 LUTEGO
NA WIECZNA RZECZY PAMIĄTKĘ
ODZYSKANIA
MORZA POLSKIEGO.

PUNK NAD BAŁTYKIEM.

A. Białki
H. Hala
S. J. J. J.
S. J. J. J.

wzmocniona częścią sił i brygady jazdy pod dowództwem płk. Jasińskiego z rejonu Wągrowca i Budzyna podjęły działania na rzecz rewindykacji ziem polskich. Pułki wielkopolskie zaprawione w bojach powstańczych wkraczały na Pomorze. 20 stycznia 6 pułk wkroczył do Bydgoszczy. Grupa płk. Michałowskiego wraz z 8 Pułkiem Strzelców Wielkopolskich i przydzielonymi siłami ruszyła spod Golań, zajęła 19 stycznia Margonin i jednym batalionem Szamocin. Grupa płk. Gałęckiego, sztab II Brygady 7 Pułk Strzelców Wielkopolskich oraz wzmożenia z rejonu Budzyna wyruszyły na Chodzież.

Grupa płk. Wrzalińskiego (5 Pułk Strzelców Wielkopolskich z zapasowym batalionem 8 pułku, artyleria oraz saperzy) w rejonie Szubina 19.01 nie wykonała ruchu, została na miejscu. Po osiągnięciu rubieży z linii zawieszenia broni przed wyruszeniem między 7 i 8 pułkiem powstała luka. Płk Michałowski wysłał do Margonina i Szamocina dwa bataliony z 8 Pułku Wlkp. 22.01. bataliony połączyły się z kolumną pułku i wkroczyły do Wyrzyska. 23.01 pułk oparł się na Nakło, a 24 wkroczył do Bydgoszczy i zajął kwatery po byłym niemieckim 14 PP. Miasto stało się stałym garnizonem jednostki.

Na

Pomorzu czekano na polskiego żołnierza 120 lat. Od chwili ogłoszenia warunków pokoju liczono dni i godziny do powstania. W niektórych miastach na początku Powstania Wielkopolskiego byli już ci bojownicy, ale po ciężkich walkach musieli się wycofać. Wrócili po roku, ale jakże odmiennie. To nie były już im prowizowane oddziały powstańcze. Wrócił żołnierz zorganizowany i dobrze ubrany, w polskiej rogatywce. Cieszą się z wojażów, jako pierwszego znaku objęcia ziem przez Polskę. Postawą naszego wojska szczególnie radowali się ci, do których nie doszło Powstanie Wielkopolskie. Wprost nie mogli zrozumieć, jak po tak krótkim okresie, bez żadnej pomocy z zewnątrz, mogła wyrosnąć taka armia.

Pułk dowodzony przez płk. Gałęckiego na froncie nadnoteckim do 24.01. zajął miejscowości: Wyrzysk, Konstantynów, Osiek, Krostkowo, Łobżenice, osiągając granice Rzeczypospolitej od Ujścia przez Kaczory do szosy Wysoka — Krajanka. 6 Pułk Strzelców Wlkp. po przejściu przez Bydgoszcz obejmował 23.01. miejscowości: Trzeczewie, Koronowo, Wierzchucin. 5 Pułk Strzelców

po czym 5 pułk ześrodkowuje się w rejonie Tucholi. Wkraczające Wojsko Polskie we wszystkich miejscowościach było witane przez społeczeństwo z ogromnym entuzjazmem.

Pochód wojska ulicami miasta na St. Rynek w Bydgoszczy był otoczony od rogatki ul. Szubińskiej żywiołą manifestacją uczuć patriotycznych społeczeństwa, młodzieży i dzieci. Wkrótce za czołowymi oddziałami od strony Kujawskiego Przedmieścia wkroczyły siły główne 6 Pułku Strz. Wlkp. wraz z przydzieloną artylerią i ulanami. Oddziałem tym dowodził mjr dr Słowiński. Imprezom patriotycznym nie było końca. Trwały one przez kilka dni. Kolejno mieszkancy witali żołnierzy 2 Pułku Ułanów Wlkp. i 8 Pułku Strzelców Wlkp. Polskie społeczeństwo wywieszało flagi narodowe. W asyście wielotysięcznych rzesz mieszkańców odbywał się ceremonial staropolski — witanie żołnierzy-wywoleńców chlebem i solą.

Każdą jednostkę bojową, każdy napotkany patrol, czy samotnego żołnierza polskiego witano serdecznie i gorąco. Wszystko to świadczyło, że bydgoszczanie i cała polska ludność Pomorza chcą wolności i jednolici ojczyzny. Mieszkańcy miast, wsi i osiedli

wkraczyli do Świecia, Nowego, Gniewu, Skórcza, Czerska, Starogardu. Oddziały kawalerii szły w przedniej straż. Za nimi postępowały inne oddziały zajmujące poszczególne strefy. W większości miast żołnierzy witali pododdziały straży obywatelskiej z przedstawicielami Rad Ludowych. Oddziały nasze wypełniając rozkaz dowódcy frontu wykonywały zadania wkraczając w północną część Pomorza i zajmując poszczególne powiaty.

Kiedy pułk ułanów krechowieckich wkraczał do Kołocowa i na Kaszuby — panował słarszysy mroz. Mimo to ludność godzinami oczekiwała na ulicach i placach przybycia swego wojska.

Do 31.01. wojska nasze doszły do strefy północnej, zaczynającej się przy południowej granicy Wolnego Miasta Gdańska.

Wreszcie 1.02.1920 r. zajęły przedostatnią strefę, docierając do zachodniej granicy niemiecko-polskiej. Tutaj dalsze obejmowanie Pomorza wstrzymano w celu wyjaśnienia sprawy Wolnego Miasta Gdańska, z którego wycofował się XVII korpus niemiecki. Ostatnia strefa została więc zajęta w dniach 4-8.02.1920 r. Wyzwolono Kościerzynę, Kartuszy, Wejherowo, Puck. 2 pułk szwoleżerów doszedł do morza polskiego, witali wszędzie ze wzruszającą radością. Pozostałe jednostki zajęły rubież od Żarnowca do Somni, umacniając zachodnie pozycje Polski. 10.02.1920 Wojsko Polskie objęło straż nad Bałtykiem.

W tych działaniach nie odbyło się bez trudności pomimo zapewnienia Polsce w traktacie wersalskim wolnego i niczym nie skrepowanego dostępu do morza. Gen. Haller np. wraz z przedstawicielami rządu nie mógł przejechać przez Gdańsk.

6.02. zezwolono na przejazd transportom polskim pod konwojem angielskich wojsk, którymi dowodził gen. Haking. Jakże to było upokorzenie dla Polski. Gdzie wolny dostęp do Bałtyku?!

10 lutego 1920 r. wjechał pociąg z dowództwem frontu pomorskiego i reprezentacją rządu oraz Sejmu na dworzec w Gdańsku. W Gdańsku ludność polska urządziła żywiołą owację. Delegacja przedstawicieli ludności z dr Wybickim na czele wręczyła gen. Hallerowi dwa platynowe pierścienie w celu dokonania zaślubin z Bałtykiem.

O godz. 12 odbył się w Pucku uroczysty akt objęcia w posiadanie Polski Pomorza, wybrzeża morskiego i Bałtyku. Morska bandera polska zawisła wysoko na maszcie w porcie lotnictwa morskiego. Pod koniec głównych uroczystości w obecności społeczeństwa z wójherowskiej, puckiej i Półwyspu Helskiego oraz reprezentacji jednostek obejmujących Pomorze gen. Haller wjechał na koniu w wody Bałtyku i wrzucił symboliczny pierścień w fale morskie. Na zakończenie nie uroczystości podpisano akt erekcyjny z napisem „Roku Pańskiego 1920 dnia 10 lutego na wieczną rzecz pamiętkę odzyskania morza polskiego. Puck nad Bałtykiem”.

Pomorze powróciło po latach niewoli do swej Macierzy.

c.d. na str. 9

Morze, polskie morze!

płk mgr ZENON KLEMENCZAK

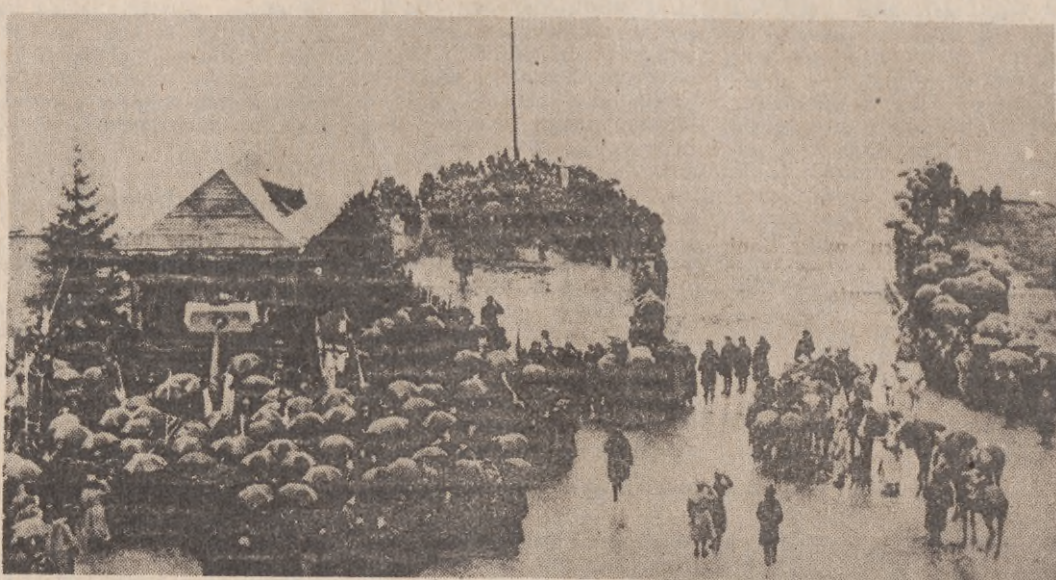
Z kierunku Inowrocławia pomorska dywizja piechoty wzmacniona 3 i 4 Pułkiem Ułanów Wielkopolskich pod dowództwem płk. Stanisława Skrzyńskiego rozpoczęła 17 stycznia marsz w celu opanowania Torunia i okolic nadgranicznych. W stronę grodu Kopernika dywizja przemieszczała się dwiema kolumnami — przez Otoczyn i Gniewkowo — mając w składzie żołnierzy pomorczaków, którzy podeszli do Wielkopolski aby zasilic tworzone swoje regionalne pułki: toruński, stargardzki, grudziądzki i kaszubski. Wypełniając patriotyczną misję niesli wolność swej ziemi ojczystej. W tym dniu na czele dywizji w przedniej straż maszerował 4 Pułk Ułanów; przekroczył linię demarkacyjną. O godz. 9 rano pojawiły się przed patrolami polskimi — linie okopów Grenzschtzu, pod Lipiem w pobliżu Gniewkowa. Na szosie, którą pułk maszerował padły pierwsze strzały. Ogień karabinowy wyrwał z szeregów pierwsze krwawe ofiary. Śmiały atakami na okopy ulani złamali linię nieprzyjaciela i zdobyli folwark obsadzony przez batalion niemiecki. Tu prócz 9 rannych padli zabity plutonowy Pająkowski. Niemcy cofnęli się pospiesznie zostawiając ciekawny i amunicję. W opanowaniu punktu oporu przez ulanów pomagali mieszkańcy Gniewkowa. Wiek-sza część niemieckich żołnierzy z pewną liczbą koni i po-

wozów dostała się w ręce polskie. W starciu zginął również kierownik lokomotywy z Torunia i kilku żołnierzy niemieckich. Po tej potyczce wojska w marszu ubezpieczeniowym podchodziły do Torunia. Na przedmieściu witali żołnierzy mieszkańcy dzielnicy Podgórz. Wśród dostojników i reprezentacji miasta był starosta toruński Czarliński.

Na drugi dzień, o godz. 16, przybył samochodem do Torunia dowódca pomorskiej dywizji płk Skrzyński i stanął przed ratuszem. Powitał go przewodniczący Rady Ludowej dr Stembor, następnie wprowadził pułkownika do gmachu, w którym prezydent miasta dr Hasse przekazał klucze miasta. Płk Skrzyński zdał następnie władzę cywilnej Radzie Ludowej i przemówił z balkonu ratusza do zgromadzonych mieszkańców. Tego samego dnia pociągi pancerne „Wilki” i „Bo-ruta” zajęły dworzec w Toruniu, o godz. 12.30 nastąpiło wkroczenie wojsk do miasta przy nieopisanym entuzjazmie ludności.

Ulicami grodu Kopernika przemaszowało wojsko w sile ok. 20.000 żołnierzy, dwa pułki ulanów, cztery pułki piechoty, jeden artylerii. Wojsko ciągnęło się przez most, plac Św. Katarzyny, ul. Szeroka na Rynek Staromiejski przez parę godzin.

Po wypoczynku pułki toruński i grudziądzki otrzymały za dnia obsadzenia granicy. 2 Dywizja Strzelców Wielkopolskich



10 lutego 1920 r. odbył się w Pucku uroczysty akt objęcia w posiadanie Polski Pomorza, wybrzeża morskiego i Bałtyku.

7 Pułk Strzelców Wlkp. na swym odcinku maszerował przez wieś i miasteczka, wita-ając radośnie i serdecznie żołnierzy. Wszędzie grupy i kolumny żołnierzy przekraczające miasta i wieś witane były okolicznościami bramami triumfalnymi. Na spotkanie wysłali delegacje miast, od-bywały się uroczystości patriotyczne z odśpiewaniem narodowych pieśni. Po uroczystościach odbywały się defilady, bez których Wielkopole nie wyobrazi sobie takiej chwili.

Wlkp. wyzwolił Mrocze, a 24.01. zajął Sępólno. W rejon opanowany przez pododdziały płk Wrzalińskiego skierowany został 6 Pułk Strz. Wlkp. do objęcia granicy nad rz. Łobżnicą na zachód od Więcborka.

5 pułk realizował plan obejmowania terenów, wkraczając do Kamienia, Tucholi, Zarnobro, Chojnic. Dowódcy batalionów przystąpili do wytaczania granicy państwowej, pozostając do chwili złuzowania przez 49 Pułk Strzelców Kresowych, tj. do 20.02.1920 r.,

wiwatowali na cześć Rzeczypospolitej przy dźwiękach hymnu państwowego.

Tak przechodziło polskie Pomorze z półtorawiekowej niewoli we władanie Polski wolnej i niepodległej.

W drugiej fazie operacji całość sił (11 dyw. piechoty operując wraz z 5 brygadą jazdy, w skład których wchodziły 46, 49 Pułk Strzelców Kresowych i 1 Pułk Ułanów Krechowieckich, 2 Pułk Szwoleżerów i 12 Pułk Ułanów Podolskich) przeprowadzono na zachodni brzeg Wisły. Wojska

ZE STARYCH KRONIK

Poczucie wspólnoty

Dla wielu z nich wojsko nie było ani wymarzoną zawodową, ani wielką przygodą, lecz nieodwracalną koniecznością. Droga do wygnania do kraju, a także droga do wolności wiodła przez służbę w oddziałach ludowego Wojska Polskiego. Zgłaszała się do najbliższych komisji werbunkowych, wkładali mun-

dur, brali broń do ręki, niejednokrotnie po raz pierwszy w życiu, i ruszali na bojowy szlak. Wyruszyli ich tysiące, dziesiątki tysięcy, potem setki tysięcy. Do kresu żołnierskiej wędrówki doszło o wiele tysięcy mniej.

Ci, którzy doszli, obok bojowych doświadczeń, rani i blizn — wynosili z tej wojny pewną wspólną cechę: wielkie poczucie wspólnoty, coś w rodzaju wspólnej osobowości, którą ukształtował czyn zbrojny, bliskość śmiertelnego zagrożenia, żołnierska solidarność.

To poczucie zrodzonej na wojnie żołnierskiej wspólnoty sprawiło, że niezależnie od tego, skąd się wywodzili — byli sobie bliscy, odczuwali potrzebę podtrzymywania stałych związków, wspierania się nawzajem w trudnych chwilach,

których i po wojnie życie wielu z nich nie szczędziło. Najdłuższą ta potrzeba wspólnych spotkań, związków, wspomnień — była żywa w środowisku osadników wojskowych. A więc tych żołnierzy odrodzonego Wojska Polskiego, którzy nieraz wprost z wojennych dróg zasiedlali odzyskane Ziemię Zachodnią i Północną. Oni mieli za sobą przy najmniej dwa wspólne etapy: wojowanie i zagospodarowanie wyzwolonych ziem. A to znaczyło, że kawał ich życia kształtował ten sam los. To ich zbliżało jeszcze bardziej.

Dawali temu wyraz m. in. poprzez coroczne wspólne zjazdy oraz znacz- nie częstsze spotkania przy innych okazjach. Czuli się jedną wielką rodziną.

Na zdjęciu: jeden z pierwszych zjazdów osadników wojskowych w Koszalinie.



Repr. ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Koszalinie — J. MAZIEJUK

„Metal — ziębi, drewno — grzeje”



Początek mojego zainteresowania plastycznym był w 1943 roku, kiedy otrzymałem od jednego muzyka malowaną na płytce obraz „Noc Sylwestrowa”. Niemcy mi go zabrali. Od tego czasu zacząłem malować małe obrazki, akwarelkami, ale nie specjalnie mi nie wychodziło. Zaczęłem próbować ołówkiem, kredkami. Trudno mi to wychodziło, ale moje niezręczne obrazki się podobały.

Widzi pani, taki dziennik prowadzę. Na okładce napisałem — Kronika Janusza Grobelnego. W tej kronice opisałem wszystko. Nie uzupełniłem jeszcze kilku lat wojennych. Ciągłe na to brakuję mi czasu. Po tych kilku pustych stronach opisuję, co było dalej, już w czasach, kiedy przeprowadziłem się do Koszalina. Zanim tu przyjechałem, byłem mieszkańcem Szczecina. Pracowałem w stożni jako nauczyciel zawodu. Wtedy też malowałem — w domu, po pracy.

Patrzy pani na rzeźby? Mam ich tu dużo. To moja kolekcja. Ostatnio wybrałem sobie na prezenta pięćdziesięciu kolekcjonerów. Co kolekcjonuje? Własne prace plastyczne. Zdziwi się pani, gdy usłyszy, że zacząłem rzeźbić dopiero w 1982 roku. Późno, prawda? Pracownicy Wojewódzkiego Domu Kultury w Koszalinie mówią mi, że się szybko rozwijam artystycznie i robię znaczne postępy. Pewnie chciałaby pani wiedzieć jak to się wszystko zaczęło?

Jechałem na plenery dla artystów amatorów. Malowałem, ale rzeźba nie dawała mi spokoju. Myślałem przecież o niej prawie 40 lat! Zbierałem narzędzia... Różne... Rzeźbienie mi jednak nie wychodziło. Na jednym z plenerów w Bobolicach był Mietek Szeląg ze Szczecina. Przyglądałem się, jak on pięknie rzeźbi. A on pyta, czy chciałbym spróbować. Odkłóził moje dłuta i dał mi swój nożyk, taki zwyczajny szyciowy. Co to był za nożyk! On sam rzeźbił! Wystarczyło dotknąć kawałka drewna, a rzeźby same wychodziły z rąk. To mnie zmobilizowało. Pierwszą rzeźbę zrobiłem w sennym. Mówili, że nie nadaje się do rzeźbienia. Nigdy takiego gadania nie słuchałem, bo mnie udaje się teraz rzeźba w każdym drewnie.

Ten mój pierwszy — stojący turysta — podobał się, więc zrobiłem zaraz małą figurkę z mahoni. Ta spodobała się redaktorowi Żołtkowi z telewizji. Pomyślałem wtedy — skoro się moje rzeźby podobają, to znaczy, że wypada wziąć się do roboty. Taki był początek.

Tu, na stoliku, widzi pani, rzeźba numer 6, bo ja je wszystkie numeruję. Nazwał ją Antos. W dzieciństwie znałem takiego jednego Antosia, co sam sobie zrobił skrzypce i na nich grał. Pamiętam tego człowieka i upamiętniłem go w rzeźbie. To bezcenna pamiątka. Podobnie jak ta rzeźba zrobiona z kawałka drewna wyrzuczonego

przez morze na brzeg. Natura sama tak to ukształtowała. Ja tylko wyrzeźbiłem rysy twarzy. Chcieli ode mnie tę twarz kupić, nawet sporo pieniędzy bym dostał, ale nie sprzedawałem, bo to pamiątka mojego nastroju.

To chyba jedyna postać, która nie wykonuje jakiejś czynności, tylko jest zamysłona. Bo u mnie, proszę pani, nie ma bezczynnych swiatełków. Wszystkie ukazują ruch, pracę, zabawę. Lubię postacie muzykantów. Dużo ich wyrzeźbiłem, bo piękne jest ich zajęcie — przynoszą ludziom radość. Pokazuję ludzi pracujących, bo sam, mimo że jestem na emeryturze — nie lubię lenistwa. Na plenerach plastycznych koledzy się zaw sze dziwią, że dużo pracuję. Oni najczęściej robią kilka rzeźb, a ja ponad dwadzieścia. Bardzo lubię rzeźbić.

Siadam sobie na stoleczku w kuchni, naskakuję figurkę a potem godzinami dłubię w drewnie. Wdzięczne to zajęcie, bo każda praca w drewnie jest przyjemna. Mój ojciec, stary leśnik mówił: — Metal ludzi ziębi, drzewo — grzeje!

To prawda! Drzewo jest bliższe człowiekowi.

Jest taki konkurs organizowany przez muzeum w Szczecinie „Las w życiu człowieka”. Biorę w nim udział. Ostatnio dostałem nagrodę za figurki przedstawiające zwierzęta w ludzkich strojach, takie jak w bajkach o lesie. Niech pani spojrzy — jaki elegancki jest Pan Bocian w

czerwonym cylindrze i zielonym fraczku! Inne zwierzęta też tak pokazałem. Wszystkie takie ważne i wystrojone! Jak w bajkach.

Ta największa rzeźba też zdobyła nagrodę w jednym z konkursów — to Mieszko I słuchający własnego gajka...

Sam się czasem dziwię, jak się szybko nauczyłem rzeźbić! Zaczęłem przed dwoma laty, a już tyle nagród zdobyłem! Mam taki skoroszyt, gdzie wkładam dyplomy, nagrody, wyróżnienia. Sporo ich tu, to znaczy, że moje rzeźby są na jakimś poziomie artystycznym. Prawda?

Zdarza się, że ci co rzeźbią już kilkanaście lat pytają mnie czemu zawdzięczam sukcesy. A to bardzo prosta sprawa. Ja kocham te swoje rzeźby, one stanowią o sensie mojego życia. Poza tym jestem pracowity, bo nie ma efektów bez pracy. Codziennie rzeźbię po kilka godzin. Tak się do tej systematyczności przyzwyczaiłem, że jeżeli li z jakiegoś powodu niczego w ciągu dnia nie zrobię, to mówię — straciłem dzień! A człowiek nie może tracić dni ze swojego krótkiego życia, bo zbyt wiele ma w nim do zrobienia. Straconego czasu nikt nie odda i tylko do siebie można mieć pretensje, że życie było monotonne i nudne.

Zanotowała

JOLANTA NITKOWSKA

Fot. Jan Maziejuk



WSPOMNIENIE
O ZOFII
NAŁKOWSKIEJ

Niepewność skrywana

ANNA RACZYŃSKA

Informacje encyklopedyczne, streszczając biografię Zofii Nałkowskiej, akcentując przede wszystkim jej rozliczne społeczne oraz literackie funkcje, określając ją przez to jako niestrudzoną działaczkę. Są to oczywiście fakty rzetelne i prawdziwe, bowiem jeszcze w Polsce międzywojennej, wspólnie z Żeromskim i kilkoma innymi pisarzami za biegała o utworzenie Związku Zawodowego Literatów Polskich, by potem, jako członek zarządu, brać udział w jego pracach.

Znana jest również jej aktywność w licznych ówczesnych towarzystwach oraz ugrupowaniach literackich i społecznych (Towarzystwo Opiętni nad Wierzbami, „Patronat”, Towarzystwo Przyjaciółni Polsko-Francuskiej, grupie „Przedmieście”, PEN-Clubie itp.). W tychże latach zasiadała także w gronie wybitnych członków Polskiej Akademii Literatury, uzyskując w ankiecie „Wiadomości Literackich” na kandydatów do niej największą liczbę głosów ze wszystkich piszących kobiet.

W czasach okupacji, sprzedając w sklepie tytoniowym, przede wszystkim organizowała literacką konspirację, a po wyzwoleniu, obok pracy w re

dakcji tygodnika „Kuznica”, jej życie wypełniały rozmaite społeczne zajęcia. Była wreszcie członkiem Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, posłanką do Krajowej Rady Narodowej i Sejmu, a jeszcze przy tym wspomagając, pracując w Komisji Upowszechniania Książki, działalność władz oświatowych, nie rezygnując, mimo podeszłego już wieku, z odczytów i spotkań autorskich, które zaczęła wkrótce po zakończeniu działań wojennych.

„Panią Zofię Nałkowską — wspomina Lesław Bartelski — poznałem w pamiętnym 1945 roku 18 marca, w niedzielę, odbył się w Łodzi wielki poranek artystyczny, pisarze odczytywali w teatrze na Cegielnianej swoje utwory.

Miałem ten zaszczyt i przyjemność, że wraz z Ryszardem Matuszewskim towarzyszyliśmy wielkiej pisarce, prowadząc ją na spotkanie. Szała głęboko przejęta i zarazem wzruszona, miała być pierwszą jej występowaniem publicznym po wojnie. Czytała przy aplauzie licznie zgromadzonej publiczności bodajże fragment powieści „Węzły życia”, którą od 25 lutego drukowało w odcinkach krakowskie „Odrodzenie”.

Niezależnie zresztą od

wszelkich oficjalnych funkcji, Nałkowska była niekoronowaną władczynią salonów literackich. Tak przynajmniej mówią jej współcześni, wspominając wydawane przyjęcia, herbatki, rauty, na których mówiła się dużo o sprawach filozoficznych, kulturowych, literackich wreszcie.

„Umiała słuchać z taką ekspresją uwagi — powiada Wilhelm Mach — która nie tylko komplementowała partnerów, lecz wydobywała z ich zasobów najlepsze możliwości, najlepszą część. Zaraz, zaraz — mówiła swym niskim, dokładnym, a żywym głosem — chciałabym to dobrze zrozumieć, pan chce zapewne powiedzieć, że... i tu jednym niezmiernym dotknięciem styłu czy nowego znaczenia przemieniała banalną w rewelację, całe pocucie zastęgi pozostawiając szczerze rozmówcy”.

Jej otwartość i życzliwość dla ludzi, a szczególnie dla chwytających za pióro pozostawiła zresztą namacalne ślady. Właśnie Nałkowska odkryła dla literatury twórczość prowincjonalnego samotnika, nauczyciela rysunków drohobyckiego gimnazjum, Bruno Schulza, który swą fantastyczną biografie pisał właściwie tylko na użytek paru przyjaciół.

Ale wszystkie te skłonności, potrzeby „wyssała Nałkowska z mlekiem matki”. Dom jej rodziców, Anny i Wacława Nałkowskich, był przecież zawsze otwarty dla uczonych, pisarzy, artystów, publicystów, dla — jednym słowem — wybitnych ludzi Warszawy przełomu XIX i XX stulecia.

Ojciec Zofii sam zresztą był sławnym geografem i publicystą, a matka, choć może mniej znana, działała w kręgach oświatowych, oprócz wawaj nawet na użytek szkół szeregi podręczników z zakresu wiedzy o ziemi ojczystej. Przyszła pisarka wzrastała więc w klimacie intelektualnego ożywienia, społecznego i artystycznego działania, uznając go za klimat jedyny i „zdrowy” dla jej osobowości.

Choć jednak wszystko co się o niej mówi zgodnie jest z faktami, prawdziwej Nałkowskiej trudno się w tym dopatrzeć, a wynikające z rzutkości działań sugestie, co do usposobienia pisarki, są mylne.

Wystarczy przejrzeć jej dzienniki, by przekonać się jak bardzo była niepewna siebie, jak wciąż szukała potwierdzenia własnej wartości. Nie tylko zresztą jako pisarki. Jako kobieta także. Czuci

ła na każde łaskawe i nieślaskawe słowo lub spojrzenie, zadreślała się wątpliwościami, wśród których tyle samo mieściła co dokonania literackie zajmowały sukcesy towarzyskie, tyle samo było w nich radości z powodzenia, co leku o jego utrzymaniu.

„Ciekawam — pisze pod datą 29 XI 1928 rok — czy ta „Niedobra miłość” naprawdę jest tyle warta. Tym przyjemniem jej, sprawiającym, że żyję jakby w ustawicznym święcie, jestem zupełnie zaskoczona i — poniekąd — za niepokojona”.

A w innym miejscu pisze: „Moja nienawiść do pięknych kobiet nie jest szlachetnym uczuciem. To nie znaczy, że bym nie zachwycala się na przykład jej urodą, że bym nie doznawała przyjemnego wrażenia estetycznego. Ale boję się rywalizacji, boję utraty pierwszeństwa...” lub: „Przedwczoraj skończyłam 25 lat. To już moja droga ku zachodowi... Nie ma się jeszcze zmarszczek, ale już nie w każdym uczesaniu, jest do twarzy, nie z każdej strony, nie w każdym oświetleniu wygląda da twarz...”.

Nigdy zresztą nie umiała pogodzić się z mijającym czasem i nadchodzącą starością. „Mnie po prostu straszliwie

wstyd jest być starą” — mawiała, przekornie i świadomie fałszując nawet datę swych urodzin. Jest przecież prawdą, że różne słowniki i encyklopedie podają sprzeczne w tym względzie informacje. A sama pisarka, na pytanie, która z nich jest prawdziwa, odpowiedziała niegdyś: — Moi drodzy, wszystkie są fałszywe — potwierdzając tym samym, że reżyserowała swoją biografię, że — jak na pisał Jerzy Zawieyski — stwarzając niezliczone typy literackich bohaterów, sama była postacią, która nie znalazła jeszcze autora.

Co rozbudziło tak silną potrzebę uznania, trudno dziś powiedzieć. Może doświadczenia „cudownego dziecka”, może niepowodzenia w miłościach, które były liczne i raczej nieudane, a może najwyraźniej, w tym właśnie, objawiała się istota tej nietuzinkowej, niespokojnej natury?

Zofię Nałkowską znamy przede wszystkim jako pisarkę, publicystkę, autorkę trzech dramatów. Ale jej debiut literacki rozpoczęła poezją. Był wówczas rok 1898, a zatem Zofia miała zaledwie 14 lat. Odtąd jednak drukowała często i nie tylko wiersze. A jej powieści: „Kobiety”, „Równieśnice”, „Granica”, „Romans Teresy Hennert”, „Niedobroci”, „Niedobroci miłość” czy „Węzły życia” znaczący drogę pełnego literackiego sukcesu. Jest wprawdzie faktem, że poza zainteresowaniem budziły też kontrowersje, ale taki już los i taka też rola prawdziwej i dobrej literatury.

To co pomieszczała w świecie wymyślonej fikcji jest najczęściej określane jako problematyka kobieca. W istocie rzeczy jednak, takie uogólnienie nie wystarczy, bo zawęza. Wprawdzie bohaterkami po-

c.d. na str. 11



Wszystko dla najmłodszych

Dział dziecięcy Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Koszalinie jest ulubionym miejscem wielu małych czytelników. Ściągają ich nie tylko książki. Nieczęsto bowiem spotyka się w bibliotece teatrzyk lalkowy, zajęcia plastyczne, robotki ręczne. Dzieci mają tu także własną fonotekę, kino, wypożyczenie gier, dyskotekę.

Zbiór książek dziecięcych i młodzieżowych liczy ponad 30 tysięcy egzemplarzy. Od rana jest tu gwaro i rojno. Codziennie (około 300 dzieci) odwiedza dziecięcy oddział biblioteki. Takiej

działalności i frekwencji nie powstydziłby się nawet duży młodzieżowy dom kultury.

Zdjęcia
JERZY SZYCH



Nie mamy już nic do stracenia!

„Jerzy Wójcicki, główny inspektor gospodarki energetycznej poinformował, że od 1987 r. będzie obowiązywał zakaz produkcji „Tarpanów” (pożerających paliwo). To samo może spotkać „Poloneza”, jeśli jego cechy użytkowe nie zostaną poprawione. Jak FSO nie potrafi zrobić samochodów, to niech robi co innego — orzekł dyrektor Wójcicki”.

Co innego! No właśnie! Może to byłoby wyjście? Muszę przyznać — bez fałszywej skromności — że podobne myśli dawno chodziły mi po głowie.

Może by produkcję serów twarogowych oraz twarogów powierzyć np. szewcom, zwanym obecnie „obuwikami”? Gorsze już nie będą, bo to nie możliwe... A może akurat (!) będą lepsze? I na odwrót: serowarzy niech robią buty. Byłyby kłopoty z oprzyrządowaniem, ale przecież można wymyślić „załogi” nie ruszając maszyn. Piekarze może spróbowałiby szyć damskie sukienki i może wykazywałyby się świeżością inwencji, której tak brak naszym zrutyzowanym producentom takowych?

A oni, inżynierowie od nieudanych „Tarpanów” — może sprawdziliby się przy komponowaniu wzorów na tekstyliach? Albo projektowaniu wózków dla niemowląt lub inwalidów, żeby pozostać w branży komunikacyjnej?

Może ktoś, kto się nie wyuczył ślusarstwa, bo miał akurat pod bokiem szkołę o tym „profilu” — marzy w ciszy o pieczeniu tortów?

Może magistrowie od pedagogiki społecznej sprawdziłyby się w produkcji konserw rybnych?

Nie wiem, czy moje propozycje są akurat najsluszniejsze, ale musimy COS, do wielkiej Anielki zrobić, żeby tania i wszelakie paskudztwo całkiem nas nie załapało. Bo, jak dotąd, wszelkie planowane „wymuszanie jakości” pozostaje w sferze podobnych życzeń.

Zerwijmy więc z fetyszem fachowości! Zostawmy pole dla inwencji! Polotu! Fantazji! Odkryjmy ukryte talenty! Spróbujmy! NIE MAMY JUŻ NIC DO STRACENIA!

A żywym przykładem, że pomysł MOŻE się sprawdzić — jest niżej podpisana

ALINA



Po rozum do głowy

Zakończone właśnie ferie zimowe skłoniły wielu rodziców do medytacji nad młodzieżą szkolną. Powodów po temu mnóstwo i telewizja nie stroni od problemu. Dość regularnie pokazuje się nam przepięknie na korytarzach i w pomieszczeniach zastępczych, znerwicowanych uczniów, nauczycieli i rodziców, a co gorsza — od czasu do czasu oglądamy na naszych ekranach wstrząsające relacje z tragicznych pogorzelisk oświatowych. Obraz naszej narodowej

oświaty jest na tyle przejmujący, że działacze PRON stawiają na pierwszym miejscu konieczność niesienia pomocy szkole. Cel jest tak szlachetny, iż powinien zjednoczyć znakomitą większość rodaków.

Nie da się bowiem ukryć, że niewielu jest szczęśliwców, którzy nie muszą mieć do czynienia z naszym systemem oświatowym. Po prostu — od szkoły nie ma ucieczki. Dlatego warto się jej bacznie przyjrzeć i poratować ją w potrzebie.

Wiadomo nie od dziś, iż dzieciarni przybywa nam szybciej, niż izb lekcyjnych, książek, przyborów szkolnych, ubiorów czy — wreszcie — wykwalifikowanych nauczycieli.

Tak zwana baza lokalowa szkolnictwa to także często przestarzałe budynki, cudem tylko nie rozpadające się ze starości. Nic dziwnego, że łatwiej w nich o tragedię taką, jak we Wronkach. Ciasnota nie jest jedyną plagą nekującą milusińskich i ich nauczycieli. Zimą daje się im we znaki niedogrzanie. Często jest to ordynarny chłód, zmuszający dzieci do przebywania w czasie zajęć w płaszcach czy kurtkach. W takich warunkach zdobywanie wiedzy staje się wyczerpującym

nem. W czasie przerw uczniowie tłoczą się na korytarzach, w męczącym hałasie, lub też maszerują parami niczym więźniowie na spacerze. Ze względu na brak zróżnicowanych rozmiarów ławek i krzeseł — szkoła przyczynia się do utrwalenia wad postawy u swoich uczniów; z powodu braku sal gimnastycznych nie może ich skończyć. Mnoży się liczba uczniów mających kłopoty z nauką, co wynika z ogromnej mierze z warunków pracy samych szkół. Nawet najbardziej ofiarni nauczyciele nie mogą wychowankom zbyt wiele pomóc, jeśli klasy liczą często ponad czterdziestu uczniów. Łatwo sobie wyliczyć, iż uczniowi czasem przypada tylko minuta nauki indywidualnej uwagi na jednej lekcji! A to stanowi zbyt mało.

Oczywiście nie we wszystkich szkołach jest aż tak źle. Często jednak bywa na wet gorzej, zwłaszcza iż wiele szkół pracuje w systemie zmianowym. W związku z taką sytuacją szuka się różnych sposobów zaradzenia złu. Odzwierają się nawet głosy za likwidacją wolnych sobót w szkołach. Z pewnością najmniej zachwyceni tym pomysłem

są sami uczniowie. Ogromna ich rzesza musi przecież dojeżdżać do szkół przez pięć dni w tygodniu. Sobota dla nich jest dniem ciepła domowego, ciszy, normalności i spokoju. Można w tym dniu spokojnie się pouczyć, poczytać lektury czy obejrzeć telewizję. W domu nie jest się wreszcie numerem czterdziestym drugim z dziennika V e — lecz po prostu sobą. Można pomóc rodzicom, albo razem z nimi wybrać się na wycieczkę. Wreszcie bez wrzaskliwego towarzysztwa z klasy i pani zawsze wychwalającej wzorowych i krzywiącej się na całą resztę.

Ba, nawet wzorowi chcą być przez dwa dni w tygodniu po prostu — normalni.

Nic zatem dziwnego, iż odebranie uczniom wolnej soboty traktowane byłoby przez nich i ich rodziców jako dopust boży. Trudno komukolwiek uwierzyć, iż miałoby to służyć lepszemu przyswajaniu wiedzy, skoro w wielu szkołach nie ma po temu odpowiednich warunków. W szkołach pracujących w systemie dwuzmianowym często rezygnuje się z wolnych sobót, traktując to jednak jako mniejsze zło. Chce się w

ten sposób uchronić uczniów przed końceniem lekcji w późnych godzinach wieczornych. Jednakże ustawowe odebranie uczniom w całym kraju wolnych sobót — co się proponuje w stosownych wariantach — wydaje się po prostu nieporozumieniem. Zamiast nad tym debatować, należy się po prostu wziąć do roboty i wspólnym wysiłkiem, pod patronatem PRON-u wybudować tyle nowych szkół, by każde polskie dziecko mogło się w szkole rzeczywistości uczyć — a nie jak dotychczas — tłoczyć i marznąć, nabawiając się nerwicy i wad postawy.

Uczeń to też człowiek, tyle że z tarczą na rękawie. A w sobotę z przyjemnością ogląda „Sobótkę”, „Podróż na taśmę filmową”, czasem „Dzieje dramatu polskiego” czy wybiera programy popularnonaukowe, bawi się na śniegu. I więcej ma z tego pożytku, niż z gimnastyki na szkolnym korytarzu.

Czyż nie lepiej i taniej po prostu wzmocnić sobotni blok programowy o audycje popularyzujące różnego rodzaju wiedzę? Telewizja dysponuje wspaniałymi filмами oświatowymi, których brak w większości szkół. Wydaje się, iż umiejętności

ich dobór na sobotnie poranki w programie „pierwszym i drugim telewizji” — wzmocniłby wysiłki oświaty przy znacznie mniejszym wysiłku ekonomicznym państwa. Trzeba by wreszcie stworzyć magazyny młodzieżowe z prawdziwego zdarzenia. O tym, że jest to możliwe — świadczy program dla dzieci „Tik-tak”. Audycja ta jest robiona z ogromnym wyczuciem młodocianej telewizyjności, docieplnie; uczy — bawiąc nie tylko milusińskich.

Taka telewizyjna edukacja może zniwelować w ogromnej mierze dystans między wsią i miastem. Musi być na tyle atrakcyjna, aby młody widz zechciał dobrowolnie z niej korzystać. Ułatwi pracę nauczycielom, którzy często w szkole dysponują tylko tablicą i kredą. A zwolnieniem pracy szkół w wolne soboty warto przypomnieć, że jeśli uczeń nie zechce się czegoś nauczyć, to żadna siła ustawodawcza nie zmusi go do wysiłku umysłowego właśnie w soboty i pod kierunkiem nauczyciela, po przemazaniu ciu na przystankach, wymęczeniu w klasowym tłoku. Czyż zatem nie lepiej w domowych pieleszach?

MAKARY



kach higienicznych, nie wspominając już o klimatycznych. Zdarzyło się np. przed laty, że do białogardzkiej lecznicy dotarł sygnał o masowym zachorowaniu karpia na posocznice. Nie było innej rady — pozostało indywidualne szczepienie każdej sztuki. Oprócz wyłowienia, każdą rybę trzeba było zważyć, aby wstrzyknąć jej odpowiednią dawkę leku. Szczepieniom poddano kilkanaście tysięcy karpia.

— Już sam fakt, że weterynaria zajmuje się leczeniem zwierząt, a więc istot „gorszych” od człowieka, stwarza niekiedy odczucie, że nasz zawód w porównaniu z lekarskim medycyny jest jakby mniej ważny i odpowiedzialny — mówi Romuald Radzi-

producentowi żywności, a gdzie jest produkcja — muszę obowiązywać przede wszystkim zasady ekonomii.

Przekonanie o tym, że służbę weterynaryjną powołano, by służyła rolnikowi, obecnie jest już dostatecznie ugruntowane. Ale jeszcze przed dwudziestą laty różnie z tym było. Wyraźnie to widać na przykładzie białogardzkiego zakładu leczniczego. Wówczas wielu rolników trzeba było przekonywać, że weterynarz wiele może zdziałać nie tylko wtedy, kiedy zwierzę jest już chore. Stara sentencja — „przede wszystkim zapobiegać” sprawdziła się stosunkowo niedawno. Nikogo nie trzeba już przekonywać np. o celowości szczepienia psów

tym, że można tą metodą wleć do krwiaka w Białogardzie przekonano się już wcześniej. W 1973 roku rozpoczęto bowiem szeroko zakrojoną akcję zwalczania chorób gruczołu mlecznego krów. Ostatni etap to organizacja szkoleń rolników we wzorowych gospodarstwach. Wówczas to zrodziła się nazwa „szkoła dojarzy”. Akcja trwa po dziś dzień. Jej efekt jest taki, że Białogard posiada najlepszy surowiec mleczny. Jeszcze 10 lat temu niemal powszechnie narzekało się na jakość mleka, teraz należy to do przeszłości. Obecnie ponad 80 proc. skupowanego mleka oceniane jest w I klasie.

Metody wypracowane w białogardzkim Zakładzie Leczniczym zaczęto wdrażać także w innych rejonach województwa kosczańskiego. Zainteresowano się nimi także poza jego granicami, m. in. w Białymstoku.

Weterynaria, podobnie jak medycyna, bardzo szybko się rozwija. Głównie poprzez osiągnięcia techniczne. Obserwując jednak podręczny bagaż weterynaryjny z Białogardu czasami trudno odnieść takie wrażenie. Funkcjonuje wprawdzie nieźle wyposażone laboratorium zakładowe, jednak zestaw środków technicznych, z jakim wyjeżdża się w teren — niewiele zmienił się od 20 lat. Nadal podstawę narzędzi weterynaryjnych stanowi zwykły termometr, fonendoskop (słuchawki), młotek do ostukiwania. W wielu krajach natomiast stosuje się już np. elektroniczne termometry, które natychmiast po dotknięciu ciała wskazują temperaturę. Nie najlepiej też bywa z wyposażeniem w leki. Brakuje tak że odczynników, dozowników testów biochemicznych. Wkrótce może także zaistnieć taka sytuacja, że nie będzie można dojechać do wsi. Lekarze weterynarii wykorzystują przede wszystkim własne samochody, a przy braku opon, akumulatorów czy ogumienia przyszłość rysuje się w ciemnych barwach.

JERZY SZYCH
Fot. autora

Morze, polskie morze!

c.d. ze str. 6

rzy jednak rewindykowane ziemie stanowiły tylko część Pomorza historycznego, które od zarania dziejów związane jest z historią Polski.

Zryw niepodległościowy Wielkopola i zbrojny ruch ludu tej dzielnicy inspirowany do konspiracji i wzmacniany patriotycznymi dążeniami Pomorza do złączenia z Macierzą. Realizacja postanowień traktatu wersalskiego przez Wojsko Polskie frontów pomorskiego i wielkopolskiego była zwycięskim pierwszym etapem powrotu Polski na zachód i północ, złączenia ziem polskich z ojczyzną.

Zakończył się on ćwierć wieku później powrotem Polski nad Bałtyk, Odrę i Nysę Łużycką, w oparciu o polityczny i zbrojny program polskiej lewicy na czele z PPR zrealizowany zbrojnym czynem ludowego Wojska Polskiego, walczącego u boku Armii Radzieckiej.

plk. mgr
ZENON KLEMENCZAK

Czy znasz Słupsk?

Przed 40. rocznicą powrotu Słupska do Macierzy zorganizowane Turniej Wiedzy o Słupsku. W półfinałach uczestniczyło 13 trzyposobowych reprezentacji słupskich szkół podstawowych. I miejsce zajęła reprezentacja SP 6 — 40 pkt. Uczniów przygotowywała mgr Jadwiga Tuliszka, drugie — SP 15 — 43 pkt. (przygotowanie zespołu — mgr Alicja Łachan), trzecie — SP 4 — (przygotowanie — mgr Władysław Minda) i SP 14 (przygotowanie — Bożena Stefanek) — po 42 pkt., piąte — SP 8 — 41 pkt. (przygotowanie — mgr Bożena Chubi), szóste — SP 7 — 40 pkt. (przygotowanie — Lucja Zajac).

Do finałów, które odbędą się w połowie marca, zakwalifikowały się szkoły nr 6 i 15.

Leczyć zwierzęta

Usłyszałem opinię, że w Białogardzie z równą powagą traktuje się chore czworonogi jak ludzi. Zwierzęta mają bo wiem w Białogardzie swój całkiem przyzwoity szpital z prawdziwą salą zabiegowo-operacyjną. Mało tego, szpital zaspokajający wszystkie potrzeby jego pacjentów, w którym, jeśli zajdzie konieczność, od razu znajduje się wolne miejsce.

Szpitalnik, jak się go tu potocznie nazywa, stanowi część Państwowego Zakładu Leczniczego dla Zwierząt. Jest to placówka z jednej strony coraz rzadziej spotykana w służbie weterynaryjnej, nie tylko na Pomorzu Środkowym, z drugiej bardzo przydatna. Stacjonarna forma leczenia zwierząt ma podobne zalety, co hospitalizacja ludzi. Wystarczy wymienić chociażby efekty leczenia wynikające z bezpośredniej, fachowej i ciągłej opieki. Ponadto weterynarz,

szczególnie ten wkraczający do zawodu, ma okazję lepszego śledzenia skutków stosowanej terapii.

Funkcjonowanie niewielkiego szpitala dla zwierząt to ciekawy fragment działalności białogardzkiej lecznicy. Głównym zajęciem tutejszej służby weterynaryjnej jest dbałość o stan zdrowia wszystkich zwierząt udomowionych i dziko żyjących. 4 lekarzy i 3 techników weterynarii obsługuje trzy gminy: Białogard, Karliń i Tychowo, a więc obszar o promieniu ponad 20 kilometrów.

Weterynaria nie jest zawodem łatwym. Jeśli się weźmie pod uwagę, że białogardzcy weterynarze wykonują rocznie ok. 10 tysięcy zabiegów leczniczych i 250—300 tys. szczepień profilaktycznych, to uzyskuje się skalę obowiązków. Często trzeba pracować w nieodpowiednich warunkach

wolek, kierownik białogardzkiego Państwowego Zakładu Leczniczego dla Zwierząt. — Trzeba sobie zdawać sprawę, że wspólnie z medykami tworzymy ten sam łańcuch działań, na końcu którego powinien znaleźć się zdrowy człowiek. Jeśli naszym zadaniem jest dbać o zdrowie zwierząt, to równocześnie znaczący wpływ ma na ich zdrowie i ludzi i zwierzęta. To także starać się o jakość mięsa dostarczanego do sklepów. A co nas zdecydowanie różni? To, że możemy decydować o losie naszych pacjentów. Lekarz medycyny natomiast wykorzystując do końca własną wiedzę i posiadane środki, bezwzględnie musi walczyć o życie. Nas ta zasada nie zawsze obowiązuje. Jeśli chore zwierzę hodowlane nie rokuje nadziei na szybkie wyzdrowienie, a jego leczenie stałoby się zbyt drogą, przyspieszamy zgon. Służymy przecież rolnikowi, czyli

preparatami zawierającymi związki żelaza, zapobiegającymi anemii. Podobnie rzecz się ma z badaniem krów, które się nie zaciągają, czy też stosowaniem preparatów mineralnych i witaminowych w chowie kurcząt. W tym przypadku efekty ingerencji weterynarza są widoczne w krótkim czasie. Gorzej, jeśli rady weterynarza dają efekty w dłuższych przedziałach czasowych, nierzadko kilkuletnich. Niby sprawa oczywista, a jednak trudno jeszcze wielu przekonać, że stworzenie odpowiednich warunków higienicznych wpływa na samopoczucie zwierząt, powoduje szybsze ich przyrosty. Czasami wystarczy sprzątnięcie, bielenie, dezynfekcja pomieszczeń inwentarskich. Często pokutuje jeszcze opinia, że w brudnym chlewie prosiak się też dobrze będzie chował.

Jest to jednak kwestia czasu i ciągłego tłumaczenia. O

W obliczu prawa

WOJCIECH BUDZIŃSKI

Pismo Marianny S. bufetowej w jednej z słupskich restauracji nosi datę 13 kwietnia 1984 roku. Pisała je na kilka tygodni przed śmiercią: Prokuratura Rejonowa w Słupsku

Już trzykrotnie składałam skargę, że mój były mąż, Józef S. w ostatnim okresie kilkakrotnie dotkliwie mnie pobił. W dniu 22 marca br. w stanie upojenia alkoholowego usiłował mnie pozabawić życia, posługując się nożem kuchennym. Błagałam go, aby mi darował życie, a w pewnym momencie nóż ten mu wyrwał. Kiedy wreszcie zasnął, zpląsałam się do Komendy Miejskiej MO. Wróciłam z funkcjonariuszami, radio wożem do domu. Widzieli, że był porażony segmentem stołowy, kryształowa zastawa, wyroby z porcelany, uszkodzona poważnie nowa ława (...)

Wyjaśniam, że w roku 1981, kiedy Józef S. był formalnie moim mężem, wskutek pobicia przez niego doznałam złamań kości ciemieniowej lewej i innych obrażeń głowy. (...) Na zwolnieniu lekarskim przebywałam 5 miesięcy. Na stałe jestem pozabawiona zmysłów węchu i smaku oraz od czuwania odrętwienie i bóle prawej nogi. Wyrokiem sądu został za to skazany na 18 miesięcy pozbawienia wolności. W tym czasie uzyskałam z nim rozwód, z jego wyłącznej

Bezradność

winy, wyrokiem z 5 marca 1982 roku. Ponadto sąd orzekł względem niego eksmisję z mego mieszkania (...) Mój wniosek o eksmisję nie został dotychczas wykonany z powodu braku wolnych pomieszczeń. Oddzielnym wyrokiem z 1982 roku zasądzone zostało od niego na moją rzecz odszkodowanie za utratę zdrowia w kwocie 100 tysięcy złotych. Po warunkowym zwolnieniu z części wymierzonej mu kary, został ponownie wprowadzony przez milicję do mojego mieszkania, bo był u mnie zameldowany i ma prawo tu mieszkać. Mieszkanie moje składa się z jednego pokoju. Byłam bezradna i zmuszona do wspólnego zamieszkiwania. Przez rok nie robił większych awantur, lecz gdy pod koniec 1983 roku wygłosił zawieszenie kary, od razu w Nowy Rok 1984 pobił mnie, będąc w stanie nietrzeźwym. Później zdarzało się to często (...)

Byłam przed skazaniem przebywać 3 miesiące na badaniach psychiatrycznych w szpitalu w Kołobrzegu. Wiem tylko, że stwierdzono u niego uszkodzenie układu nerwowego. (...) W obawie przed kolejnym zagrożeniem od 22 marca godz. 2 w nocy mieszkałam u obcych ludzi.

Marianna S.

Kim jest ów nader pobudliwy i napastliwy Józef S., o którym pisała jego była żona? Urodził się w 1946 roku

parzeniach, o ucieczkach w poszarpanej i zakrwawionej koszuli do sąsiadów, o tym, że do bicia używał klucza francuskiego, o zmuszaniu do poniżających usług, o wyłudzeniu pieniędzy na alkohol, na opłacenie zaległych alimentów, grzywien, kosztów sądowych.

Marianna S. w 1984 roku liczyła 41 lat. Była osobą do brze sytuowaną, miała wprawdzie jednopokojowe, ale wykupione na własność mieszkanie, jeździła własnym samochodem. Zadbała, staranna, umiejąca dobrze prowadzić dom.

On zaś, jeśli chciał, potrafił się dobrze maskować. W zakładzie karnym, w którym od siadywał wyrok za znęcanie się nad żoną, wystawiono mu dobrą opinię:

„...do pracy wychodził systematycznie i wykonywał ją wzorowo. Wypełniał ustalone normy dzienne. Dbal o przydzielony sprzęt i narzędzia pracy. Polecenia przełożonych wykonywał chętnie i dokładnie. Dbal o swój wygląd, higienę osobistą, a także o porządek w celi mieszkalnej. Dodatkowo pełnił funkcję kozyrarską i wywiązywał się z niej należycie. Za sumienną pracę i dobre zachowanie był pięć razy nagradzany nagrodami regulaminowymi”.

Administracja zakładu karnego poparała wniosek o warunkowe zwolnienie z reszty kary.

Jakże odmienną opinię wydał zakład pracy, w którym podjął zatrudnienie po wyjściu z więzienia:

„Pracownik niedyscyplinowany, arogancki w stosunku do przełożonych oraz pozostałych pracowników. Nie wykazywał zainteresowania pracą”.

Tragedia zbliżała się szybko krokami. 28 maja ubiegłego roku nie poszedł do pracy (przyjechał się w tym czasie w „Alce” do zawodu obuwnika-montażysty). Wyjechał w południe do sklepu. Kupił litr wódki. Zaprosił do domu przypadkowo napotkanego nieznajomego mężczyznę, z którym opróżnił butelki.

Nazajutrz wyszedł z domu w południe, tuż przed godziną 12. Znalazł się na ulicy Szczecińskiej. Ulica była rozkopana, prowadzono tutaj roboty drogowe. Niespodziewa-

nie spotkał Mariannę S. Szli jakiś czas razem. W pewnej chwili nieelocnie przechodnie usłyszeli kobiecy głos: „zostaw mnie, ty bandyto” i zaraz „ra tunku, morderco”. A potem zobaczono już kobietę leżącą pomiędzy przygotowanymi do ułożenia rurami kanalizacyjnymi. Głowa leżącej wspierała się na jednej z rur. W skroń tkwiła siekiera wbita aż po sam oboj. Zobaczono też od dalającego się mężczyźne.

Kilku więźniów, zatrudnionych przy robotach ulicznych rzuciło się w pogoń. W ręku ściganego błysnął nóż. Nie było jednak kłopotów z obezwładnieniem go. Wykręcono do tyłu rękę. „No, teraz dostanę karę śmierci... Czy ona jeszcze żyje?... Czy wiecie, co ona mi zrobiła?” — wyrzucał z siebie beładnie zdyszany głosem.

Wkrótce przyjechała karetka reanimacyjna. Załoga karetki wolała nie wyciągać się kiery z głowy kobiety. Lepiej zostawić to do czasu operacji. W karcie historii choroby Marianny S. widnieje zapis: „przy przyjęciu głęboko nieprzytomna, na oddechu własnym. W okolicy czołowo-skroniowej prawej, rozległa rana powłok głowy z siekierą tkwiącą w głębi rany. Rana dość obficie krwawi”.

Zmagala się ze śmiercią jeszcze kilka dni. 3 czerwca o godzinie 5.55 nastąpiło znaczne zwolnienie tętna, a następnie ustało krążenie. Podjęto natychmiast akcję reanimacyjną. O godzinie 7.16 od reanimacji odstąpiono, uznając pacjentkę za zmarłą.

Józef S. poddany zostaje po nowym badaniu psychiatrycznym. Lekarze wykrywają u niego zanik niektórych fragmentów mózgu, spowodowany przypuszczalnie jakimś starym urazem. Stwierdzają także przewlekły alkoholizm. Ze względu na znaczną degradację psychiczną uzasadnioną organicznie — brzmia orzeczenie — w chwili przestępstwa miał znacznie ograniczoną zdolność rozumienia czynu i kierowania swoim postępowaniem.

Rozprawa toczyła się przed Sądem Wojewódzkim w Słupsku. Oskarżony nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu. Snuł fantastyczne wyjaśnienia. Żona (była)

zdradzała go, organizowała przeciwko niemu spiski, chciała łączyć z nim zbrodnie, ale zamachowcy zażądał 50 tysięcy złotych, itd.

Ciekawszą była jego rozmowa z psychologiem:

„Byłem o nią zazdrosny. Nie znęcałem się nad nią. To nieprawda. 29 maja spotkałam się na ulicy. Szedłem do domu do restauracji, tam gdzie ona pracowała. Ona pewnie z pracy szła. Pewnie wcześniej zeszła. Nie wiem. Ja nie byłem w pracy, bo załamaniem się psychicznym, bo dowiedziałem się, że mieszka w jednym pokoju z byłym mężem. Powiedziałem jej, żeby wróciła do domu. Ona powiedziała, że wróci, jak mnie zamknę w więzieniu. O ile mnie nie zamknę, to jej ludzie mnie zabiją. Byłem taki zdenerwowany, że nie wiem, co było dalej. Nie wiem, czy ją uderzyłem. Od połowy maja nosiłem przy sobie siekierkę i dwa noże, bo zostałem pobity. Kto pobił? Dwaj mężczyźni. Powiedziałem, że za Mariannę. Zabrał mi zegarek i zapalniczkę. Nie planowałem zabicia. Bałem się. Jej kochanek przychodził w nocy z łosem, to się bałem. Uważałem, że nie powinienem się w ogóle urodzić. Bo całe życie byłem nieszczęśliwy. Ko robiłem, żeby być szczęśliwym? Pracowałem. Nigdy w życiu nie byłem bez pracy. Czy mam jakąś winę? Moja jest tylko wina, że wcześniej nie popełniłem samobójstwa. Wziąłem kiedyś 10 tabletek sinequamu, ale obudziłem się po 40 godzinach. Dla czego nie zgłaszałem nigdzie, że czuję się zagrożony ze strony żony? Nie chciałem, żeby miała nieprzyjemności z mojego powodu. Jakiego oczekuję wyroku? Ja tego nie przeżyję. Ja chyba popełnię samoobójstwo...”

Sąd Wojewódzki w Słupsku wobec oczywistych dowodów uznał, że oskarżony Józef S. jest winien zarzucanego mu zabójstwa. Przestępstwo — orzekł sąd — popełnione zostało z zamiarem bezpośrednim. Jedyną okolicznością łagodzącą jest znaczne ograniczenie poczytalności, wszakże nie na tyle znaczącą, aby zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary.

Skazany został na 25 lat pozbawienia wolności.

W Koszalińskim odbywają się zebrania sprawozdawczo-wyborcze okręgowych związków sportowych. Podsumował już swoją 4-letnią działalność Okręgowy Związek Piłki Nożnej. Delegaci postanowili, że funkcję prezesa związku pełnić będzie nadal Rajmund Lutomski.

Chude lata

— Chciałbym, żeby na początku naszej rozmowy powie Pan parę słów o sobie.
— Obowiązki prezesa koszańskiego OZPN powierzono mi drugi raz z rzędu. Działaczem piłkarskim jestem od sześciu lat. Nigdy nie byłem czynnym zawodnikiem, choć sprawy futbolu zawsze mi były bliskie. Jestem członkiem zarządu PZPN w komisji do spraw współpracy z okręgowymi związkami. Są to oczywiście zajęcia społeczne, a na co dzień kieruję biurem Rady Wojewódzkiej PRON w Koszalinie.

— Jaki jest obecny stan koszańskiego OZPN?

— Dwie drużyny: Gwardia Koszalin i Wielim Szczecinek grają w III lidze. Czternaście zespołów występuje w „okręgowce” a dwadzieścia cztery w A-klasie. Te spotkania oficjalnie firmujemy jako OZPN. Rozgrywki B-klasy prowadzi bowiem podokreśl, a C-klasy — rady gminne LZS. Oprócz seniorów stałe cykle rozgrywek mają juniorzy starsi i młodsi oraz trampkarze.

— Kibice narzekają, że trzy ciałogowe kluby okręgu koszańskiego to typowi „średniacy”, nie ubiegający się o awans do II ligi. Czy OZPN potrafi stworzyć klubom o-

kreślone możliwości do realizacji takich celów?

— Sytuacja nie jest prosta. Koszalińskie to teren, z którego zawodnicy uciekają. Naszych wychowanków spotykamy w pierwszoligowych drużynach. U nas nie znaleźli wystarczających warunków do rozwoju oraz — nie ma co ukrywać — warunków materialnych. W naszym województwie nie ma bogatych sponsorów, a po 1980 roku zakłady pracy zupełnie przestały interesować się sportem wyczynowym. Będziemy starali się odrobić stracone pole, lecz naprawdę trudno przewidzieć, jak szybko pojawią się efekty. Poza tym nie ma odpowiedniego klimatu do rozwoju wyczynowego sportu. Niewielkie jest zainteresowanie władz tymi sprawami.

Warto wspomnieć o innym problemie, nawet czołowe kluby województwa marzącej na kłopoty z zaopatrzeniem w sprzęt piłkarski. Rozdziela go centrala PZPN i ostatnio otrzymujemy „resztki”. W grudniu zakupiliśmy dresy, trudno uzyskać koszulki, spodenki, trampkorki itp.

— Wspomniał Pan, że z Koszalińskiego zawodnicy uciekają. Czy jednak nie mogą wrócić i grać w macierzystych

klubach już na zakończenie kariery sportowej?

— Bardzo byśmy chcieli, aby tak było. Starsi zawodnicy mogliby przekazać swoje doświadczenia młodszym kolegom. Ostatnio wrócił do Koszalina Stefan Miła, który przez dwa lata grał w Australii. To jednak wyjątkowy przypadek. Pozostali nasi wychowankowie wrócili w inne środowiska i z dawnymi znajomymi utrzymują tylko przyjaźńskie kontakty.

— W ubiegłym roku powstał pomysł powołania koszańsko-słupskiej ligi młodzieży okręgowej. Kiedy rozpoczyna się ta rozgrywki?

— Z taką propozycją wystąpił słupski OZPN. W rozgrywkach miałyby występować po siedem zespołów z obu klas okręgowych. Na razie jednak nie ma zdecydowanego poglądu w klubach. Podczas zebrania sprawozdawczo-wyborczego w Koszalinie, zaproszony prezes SOZPN, Andrzej Ziemecki sugerował, aby do 15 lutego powołać grupę działaczy obu związków, którzy opracują koncepcję rozgrywek. Trudno więc teraz konkretnie mówić, kiedy się rozpoczną rozgrywki ligi młodzieżowej i kto w nich będzie uczestniczył.

— We wrześniu 1984 roku w Słupsku rozegrano międzypaństwowy mecz piłkarski pierwszej reprezentacji Polska — Turcja. Obserwowało go ponad 25 tysięcy widzów, wśród nich było sporo kibiców z miejscowości woj. koszalińskiego. Czy w naszym okręgu odbędą się tego typu spotkania?

— Muszę zmartwić kibiców: nie takiego się nie zapowiada. Ostatni mecz między państwami rozegrany w Koszalinie odbył się 13 maja 1981 roku. Grali juniorzy Polski i ZSRR. Pojedynek ten nie wywołał specjalnego zainteresowania. Sprzedaliśmy mniej biuletów i „podpadliśmy” PZPN.

Obecnie zorganizowanie meczu nie wchodzi w rachubę z innego powodu. Stadion Gwardii jest remontowany, a mniejsze obiekty w Szczecinku i Kołobrzegu nie odpowiadają wymaganiom.

— Jeśli nie można liczyć na przyjazd kadry narodowej do Koszalina to warto zorganizować u nas mecz typu „koszalinianie” — Wisła Kraków, który odbył się we wrześniu 1982 roku.

— Pomysł wydaje się dobry. OZPN zamierza włączyć się do cyklu imprez sportowych, uświetniających obchody 40-lecia powrotu Ziemi Zachodnich i Północnych do Macierzy, a mecz z udziałem „koszalinian” wzbudzi na pewno duże zainteresowanie. Znowu jednak powraca pytanie: gdzie grać?

— Może znajdziecie jakieś wyjście? Inaczej czekają nas wciąż „chude lata” koszańskiego futbolu.

Rozmawiał:
ROMAN LUKAWSKI



Tym razem — miasteczcy strażacy w pełnej gali, ale bez sprzętu (bo przecież się nie pali). A pod honorowym szpalerem z toporków ON — ich kolega Grzegorz Ferlin, strażak zawodowy w Miastku, mistrz i rekordzista Pomorza, członek kadry krajowej w sportach pożarniczych, obecnie młodszy chorąży z Woj. Ośrodka Szkolenia Pożarniczego w Słupsku, i ONA — Małgorzata Michalak z Dretynia, słuchaczka Pomaturalnego Studium Pożarniczego w Słupsku. Wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia!

Fot. Jan Maziejuk

MIEDZY ROZSADKIEM A CZARNA MAGIA

BYWALCY spotkań organizowanych przez Kółko Radiestów przy ODK „EMKA” w Słupsku mieli okazję uczestniczyć w ciekawym i głośnym eksperymencie DU, z powodzeniem powtórzonym w Słupsku. Autor doświadczenia Jacek Papiewski, z zawodu inżynier budownictwa wodnego, prywatnie — nauczyciel akademicki na Politechnice Warszawskiej — po otrzymaniu od zgromadzonych słuchaczy kartek zawierających dane: imię i nazwisko, wiek, oraz miejsce zamieszkania — wylosował dwie z podanych kartek, następnie poprosił zebranych o zachowanie ciszy potrzebnej mu na koncentrację. Po czym swobodnym, naturalnym głosem, nie zdradzającym napięcia, czy wejścia „w trans” zaczął podawać szereg obrazów sytuacji, w których każda z osób mogła się znajdować, szczególnie związane z wyposażeniem pomieszczeń, ubiorem a także sylwetką nieznaną mu przedtem osobą.

Szczegóły podane przez p. Papiewskiego zostały prawie w całości potwierdzone przez uczestników eksperymentu, którzy kartki zostały wylosowane. Niecierpliwcy Czytelnicy opi-

Niecodzienne „eksperymenty”

su stwierdził: telepatia i nie poza tym.

Tymczasem określenie „zjawiska” nie jest tak jednoznaczne. Na początku XIX w. M. de Puységur spostrzegł, że niektóre osoby znajdujące się w silnym transie hipnotycznym potrafiały zdumiewająco trafnie opisywać własny stan zdrowia, czy określać rodzaje i przyczyny chorób u innych osób. Toteż przez długi okres uzdolnienia paranormalne wiązano z hipnozą. Prowadzone w ostatnich dziesięcioleciach badania nad relaksacją oraz stanami uzyskiwanymi za pośrednictwem treningów jogi pozwoliły ustalić zależność pomiędzy stanami odprężenia psychicznego i fizycznego, a rytmem prądów czynnościowych mózgu. Jak się okazało, pomiar elektroencefalograficzny (EEG) pozwala w sposób obiektywny śledzić postępowanie procesu relaksacji wraz z towarzyszącymi mu zmianami w świadomości. Najłatwiej uchwytym przejawem jest wzrost poziomu składowej alfa (8–12 Hz) w zapisie EEG. Idąc w ślad za tymi badaniami poszukiwania skutecznych i dostosowanych do możliwości i potrzeb Zachodu metod treningu doprowadziły do

powstania różnych systemów „treningu alfa”. Jednym z nich jest system DU (Dokształcenia Umysłu), wzorowany na systemie opracowanym w Institute de Superacion Humana w Meksyku. W wyniku tego treningu nabywane są umiejętności wchodzenia w stan umysłu, w terminologii systemu DU określane jako działania nadświadome. Stan ten osiąga się i pogłębia za pomocą stosowania specyficznych procedur i specjalnych ćwiczeń koncentrujących relaksujących oraz poprzez trening wyobraźni. Owocem jest wyobraźnia wzrokowa łącznie z dotykowym, termicznym i kinestetycznym, a także z wyobraźnią innych doznań zmysłowych. Przy czym przejście od wyobrażeń czysto subiektywnych do wyobrażeń kształtowanych na skutek informacji drogą paranormalną — jest płynne i dla ćwiczącego niezauważalne. Jaką drogą osoba stosująca trening DU otrzymuje informacje? Wydawać by się mogło, że ich źródłem jest telepatyczny przekaz od osoby przekazującej dane wyjście we. Wyniki wielu eksperymentów wykazują, że tak nie jest, ponieważ otrzymywane tą drogą informacje są pogię-

bione i często nie znane osobom trzecim.

Wchodzenie na poziom działania nadświadomego, jak twierdzą uczestnicy eksperymentów, pozwala m. in. na nawiązywanie kontaktów pomiędzy świadomością, a nieświadomymi warstwami własnej osobowości. Pozwala to zlikwidować objawy bezsenności, umożliwia odzyskanie się od palenia, ułatwia zapamiętywanie i przypominanie posiadanych wiadomości. Instruktorzy DU takich możliwości podają znacznie więcej. A p. Jacek — czy uruchamia podgląd nieznaną osobę? — jak informowały swego czasu doniesienia prasowe z publicznych pokazów DU. Możemy być spokojni o intymność naszych przeżyć prywatnych, ponieważ DU to nie „podgląd” sytuacyjny lecz informacja o osobie badanej, przeniesiona drogą informacji pozazmysłowej. Niewiarygodne? Być może, ale system daje także korzyści całkiem prozaiczne: pozwala na głęboki relaks i rozluźnienie osób stosujących DU. Jak mówi Jacek Papiewski, „otwiera na ludzi i czyni kontakty z otoczeniem bardziej sympatyczne”, co w życiu codziennym jest nie bez znaczenia.

Zainteresowanych powyższymi formami ćwiczeń proszę o uzbrojenie się w cierpliwość. Jacek Papiewski po zebraniu i naukowym opracowaniu swoich eksperymentów i doświadczeń w zakresie DU przekazuje je do druku w formie książkowej.

MARIA MARCHWICKA

Z zimą za pan brat



Dobłą tradycją Sławna, i to od wielu lat, jest staranne przygotowanie ferii zimowych. Sztab zimowych wakacji zadbał nie tylko o obszerną, czytelną informację (wydrukowano specjalny afisz), ale zapewnił również lodowisko, sprzęt.

W zimowisku uczestniczyły szkoły podstawowe nr 2 i 3. Przy szkole nr 2 zorganizowano zimowisko dla dzieci z klas 1–4. Lodowisko (największe w województwie słupskim), atrakcyjne imprezy, sprawiły, że było wielu chętnych.

Ferie się skończyły, ale zima jeszcze pozostanie jakiś czas i na pewno w Sławnie dzieci będą mogły nadal korzystać z zimowych atrakcji.



Fot. Jan Maziejuk

PO ZDROWIE — DO NATURY

Korzeń lukrecji gładkiej (c.d.)

3. SCHORZENIA PRZEWOZU POKARMOWEGO.

Rp. a) (Korzenia lukrecji — 5 cz., kory kruszyny — 1 cz., jaskółczego ziela (glistnika) — 2 cz. Mieszankę tę gotować 10 min. w proporcji 1 łyżka stołowa na 1 szklankę wody. Pić 2–3 szklanki wywaru dziennie przy kamicy żółciowej. (Muszyński)

Rp. b) Korzeń lukrecji, korzeń arcydzięgla, kłącze pięciornika, korzeń prawoślazu, ziele przetacznika, srebrnika i dziurawca, paczki sosny i

liść melisy. Parzyć co najmniej pół godziny. Pić 3 razy dziennie po 1 szklance 20 min. przed posiłkiem. Do tego przed snem wypić 1 szklankę siewianka lnianego gotowanego przez 10 min. w proporcji 2 łyżki na szklankę wody — przy nieżyłości jelita grubego.

Rp. c) Korzeń lukrecji, arcydzięgla, mniszka, prawoślazu i żywokostu, ziele drapacza lekarskiego i dziurawca, kwiat malwy i rumianku — parzyć w proporcji 1 łyżka na 1 szklankę wody j.w. i pić

j.w. przy wrzodzie żołądka i dwunastnicy.

Uwaga: w podeszłym wieku, w młodszych, nadciśnieniu i poważnym schorzeniu nerek lukrecję zastąpić mchem islandzkim.

Rp. d) 1 łyżeczkę korzenia lukrecji i 1 łyżeczkę (od herbaty) kory kruszyny zalać szklanką zimnej wody. Gotować 15 minut, po czym odciedzić. Pić 1–3 razy dziennie po pół szklanki przy zaparciach.

4. Ze względu na działanie przeciwzapalne, co wynika z zastosowania, ale o czym jeszcze tu nie zostało powiedziane, lukrecję można też stosować zewnętrznie, z dobrym skutkiem PRZY STANACH ZAPALNYCH W OBRĘBIE GARDŁA I JAMY USTNEJ.

Rp. Korzeń lukrecji zmiesza z 1 łyżką szalwii parzyć około 20 min. Płuczemy ciepłym naparem co godzinę i częściej.

Nawiązując na koniec do znalezionej przeze mnie uwa-

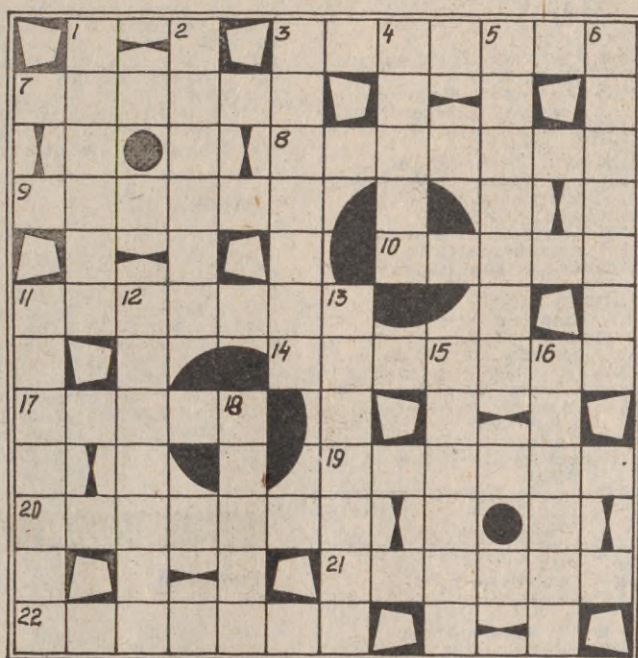
gi o konieczności skonsultowania się z lekarzem przed zastosowaniem niektórych ziół, m.in. lukrecji, to konia z rądem temu, kto znajdzie w naszym i którymkolwiek z sąsiednich województw lekarza, który chciałby udzielać tego rodzaju konsultacji. Każde, zwłaszcza młode, lekarz odpowiada — zapytany przez pacjenta o działanie pewnych ziół lub możliwość zastąpienia nimi leków farmakologicznych — że nie jest kompetentny w fitoterapii. I jest to, niestety, zgodne z prawdą. Nasza medycyna akademicka popełniła swego czasu ogromny błąd, zarzucając kształcenie adeptów fitoterapii. Teraz to się mści, choć wyczuwa się już przychylną atmosferę. Może za dziesięć — piętnaście lat będziemy mogli nie tylko konsultować się w sprawie ziół, ale i wybierać, jak w Chinach, konwencje leczenia.

ANNA WIECH

NR 7(262) ZBLIŻENIA 11

KRZYŻÓWKA

Słowo za słowo



POZIOMO: — 3) fortel, 7) ...Donald; 8) początek; 9) manatki; 10) szpaler; 11) młokos; 14) dekarz; 17) worek; 19) odpoczynek; 20) podium; 21) mazgaj; 22) tryton.

PIONOWO: — 1) niepoń; 2) twór; 3) zabobon; 4) nyskóra; 5) lichota; 6) „chlebowicz”; 11) interes; 12) rzepka; 13) despota; 15) łobuz; 16) bunt; 18) kminkówka.

LEX

Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji na kartkach pocztowych — z dopiskiem „KRZYŻÓWKA nr 7” — w terminie tygodniowym. Do rozlosowania wśród nadsyłających odpowiedzi: premiowy bon oszczędnościowy PKO wartości 250 złotych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 4:

Poziomo: — zabawa, nośnik, ind, los, ostoja, kadryl, balet, ćwika, unikat, zegar, kwintal, Knossos, but, szarada, apokryf, Opatów, czyżyk, intruz, enacje, gawęda, zaleta.

Pionowo: — złość, bitki, wij, Anabaza, nokturn, osa, nurek, kolet, log, wawóz, Kondrat, insekty, amory, Elba, akta, smoking, dywizja, pęcherz, fokreja, aktywy, życie.

Hasło: „Karnawałowa krzyżówka to świetna zabawa”.

ROZWIĄZANIE WIRÓWKI TAUTOGRAMOWEJ Z NR 5:

Krzywica, kryształ, kałamarz, kawiarka, kokardka, krzemień, kompania, kirasjer, kujawiak, kosłarka, kielbasa, Kutrzeba, kwaterek, karkówka, kwasoryt, koszulka, kuszetka, kątownik, kapinara, kantówka, klasówka, kaletnik, kosynier, kaszalot, komandor.

NAGRODA

Nagrodę, za bezbłędne rozwiązanie krzyżówki nr 4, w postaci premiowego bonu oszczędnościowego PKO — wylosowała IRENA PREISS, ul. Słowackiego 10, m. 31, 86-300 Grudziądz.

★ **BARAN** (ur. 21 III — 20 IV). Po kilku dniach odprężenia znowu niekorzystne oddziaływanie gwiazd. Jakież niespodziewane okoliczności skomplikują ci życie, zahamują entuzjazm. Podjęte ryzyko

przyniesie sporo kłopotów. Okażesz drażliwość i zwątpienie w sens dalszej walki. Tylko w uczuciach przejaśni się niebo, wiele radości ci przyniesie spotkanie z ukochaną osobą. Prawdopodobna poprawa finansów.

HOROSKOP



★ **BYK** (ur. 21 IV — 20 V). Odkrysz spokój ducha, wypłyniesz na spokojniejsze wody. Cechować cię będzie — dosyć rzadko przez ciebie okazywana tolerancja dla poczynań ludzi, o losach których decydujesz. Ale przybliży się czas decydowania o własnym losie... Jeszcze raz przemyśl, jak postąpić? Iść za głosem serca, rozsądkiem czy sumieniem? Dalsza zwłoka może być brzemienne w nieodwracalne skutki.

★ **BLIŹNIĘTA** (ur. 21 V — 21 VI). W tym tygodniu postaraj się prowadzić mało aktywny (zwłaszcza zawodowo) tryb życia. Wskazana jest nawet pewna stagnacja. Odlóż podróże i interesy, bowiem układ planet zwiastuje wiele przeszkód i komplikacji. Nie przejmuj się jednak, gdyż zła passa wkrótce przemieni. Tymczasem postaraj się czerpać radość z drobnych sukcesów, ale nie zapomnij o sprawianiu przyjemności osobie sercu bliskiej.

★ **RAK** (ur. 22 VI — 22 VII). Oddziaływanie Wenus zwiastuje Rakom — zwłaszcza kobietom — niezwykle korzystny zwrot w życiu uczuciowym. Ale tak że mężczyźni będą obdarzać swoje partnerki wielką czułością, choć... bez wzajemności. Równie korzystnie ułożą się stosunki w pracy, możesz się spodziewać

zwiększonych wpływów finansowych. Uważaj tylko na wrażliwość krtani. Kłopot mogą sprawić dzieci.

★ **LEW** (ur. 23 VII — 23 VIII). Zupełnie niespodziewanie nastąpi zwrot w twoim życiu uczuciowym. Odetchniesz z ulgą, bowiem poprzednia sytuacja powodowała stan permanentnej frustracji. Bliższy człowiek okaże ci czułość i podziw, a nieporozumienia pójdą w zapomnienie, ale warunkiem — okazać więcej tolerancji i zaufania. W pracy nieprzyjemny zgrzyt, kłopoty z powodu jakiegoś niezałatwionej sprawy. Okaż skrupuły, przepraszaj.

★ **PANNA** (ur. 24 VIII — 23 IX). Nastąpi wyraźna poprawa we wszystkich dziedzinach. Nawet sprawy już „przebrane” nabiorą znowu sensu i wiele z nich załatwisz po twojej myśli. Sprawi to Jowisz, szczególnie w tym tygodniu Pannom sprzyjający. W pracy uznanie dla twoich kompetencji, w rodzinie pełna harmonia, ale... pewna nowa znajomość zaniepokoi twoje serce i myśli skieruje ku nowym podbojom.

★ **WAGA** — ur. 24 IX — 23 X). W nowy zapas sił witalnych wyposaży cię Słońce. Przystąpisz zatem z zapałem i wiarą do pracy i osiągniesz dobre rezultaty. Twoja inteligencja i bystrość sprawi, iż zainteresuje się tobą ktoś

wiele w środowisku znaczący i pomoże ci przeformułować koncepcje, które przyniosą spore korzyści. Jedynie atmosfera w domu będzie dość ciężka — musisz wyjaśnić zadawnione pretensje.

★ **SKORPION** (ur. 24 X — 22 XI). Czekają cię dni wytężonej pracy, ale rezultaty przyniosą uznanie i satysfakcję. Uważaj, bowiem ktoś blisko z tobą współpracujący rozgłasza o tobie plotki narażające cię na śmieszność. Nie udawaj, że nic się nie dzieje, działaj zdecydowanie, bez kompromisów. W uczuciach bardzo nieciekawie — po prostu nic. Dręczyć cię mogą także koszmarnie sny — czyżby zwiastowały chorobę?

★ **STRZELEC** (ur. 23 XI — 21 XII). Bardzo prawdopodobne istotne zmiany w twoim życiu — nowa praca, przeprowadzka, ktoś długo oczekiwany? Przyjmij to „nowe” z optymizmem i wiarą, pomóż losowi. W małżeństwach nastąpi umocnienie więzi, choć niewykluczone bardzo skomplikowane stany uczuciowe. Niestety, czekają cię nowe kłopoty finansowe. „Zawdzięczasz” je swojej rozrzutności. Oczekiwana przesyłka w drodze.

★ **KOZIOROŻEC** (ur. 22 XII — 20 I). Dzięki korzystnemu aspektowi Urana przyjdzie ci do głowy wiele po-

trwał, wszakże szczęśliwie, powszechnie naśladowany zwyczaj tzw. „strzemienne go”. Z tą niewielką różnicą, że w staropolskiej dobie strzemienne oznaczało spełnienie toastu przy pożegnaniu rycerza, który wkładając nogę w strzemie, miał osiąść konia, natomiast dzisiaj oznacza wychylenie, rzeczywiste ostatnie kieliszka, przed opuszczeniem domu gościnnych gospodarzy.

Na koniec warto przypomnieć jeszcze pewien zabawny błąd, jakiego nie ustrzegł się pisarz austriacki Mirko Jelusich (ur. w 1886 r.). W powieści biograficznej o Juliuszu Cezarze pochopte użył następującego zwrotu: „Cezar, uniósłszy się w strzemionach, za wołał...” Mógł — oczywiście — zawołać, lecz nie mógł się unieść. Myślę, że uważny Czytelnik znajdzie odpowiedź na to — dlaczego?

Myślę także i o tym, iż dobrze się stało, że podjąłem temat o strzemionach. Któż zaręczy bowiem, że w niedalekiej przyszłości wraz z ówczesnym rozwojem motoryzacji, nie dojdzie do takiej sytuacji, w której nie tylko strzemiona, ale przede wszystkim konie, będą do obejrzenia li tylko na historycznych filmach, westernach i zdjęciach?

BUK



ZNACIE?... NO TO POSŁUCHAJCIE!

Rzecz o strzemionach

Jak dowiadujemy się z „Encyklopedii Staropolskiej” Z. Glogera, królowa Marysienka wprost z pola bitwy otrzymała, przesłane przez męża, triumfatora spod Wiednia Jana III Sobieskiego, strzemie srebrne, pozłacane, wielkie go wezwała Kara Mustafy wraz z karteczką, na której nakreślił on naprędce takie słowa: „Ten, którego noga była w tem strzemieniu, za łaską Bożą, jest zwyciężony”.

Zaczynam od faktu historycznego, ale tak naprawdę idzie mi o to, by znaleźć odpowiedź na pytanie, kto wpadł na pomysł zastosowania strzemion do jazdy konnej? Kiedy pojawiły się one w Europie, jaką drogą dotarły do Polski?

Strzemie jest częścią oporyządzenia jeździeckiego, po chodzenia wschodniego. Składa się zazwyczaj ze stopnia (na oparcie stopy), kabłąka i zawieszki (na puśliko, czyli pas skórzany). Ułatwia dosiadanie konia i jazdę wierzchem.

Starożytni Grecy i Rzymianie jeździli na oklepie, a była to sztuka nie lada u-

trzymać się na koniu z tarczą i ciężką włócznią. Karol Wielki (VIII—IX w.), wyobrażony na posagu akwizgrańskim, także siedział bez strzemion na rumaku. Wiemy natomiast do kładnie, że strzemiona były już w powszechnym użyciu w wieku XI, kiedy rycerstwo wyruszało na pierwszą krucjatę. Ale kłóż rycerzy tego nauczyli? Przecież w żelazo zakuty krzyżowiec nie utrzymałby się na koniu bez siodła i strzemion.

Być może, nową szkołę jazdy wierzchem przynieśli do Europy zwycięzcy Arabowie, albo też Węgrzy, którzy w X wieku urządzili wyprawę do Niemiec, do Francji i Włoch. Dla nas interesujący jest szczególnie, że archeologowie we wczesnohistorycznych wykopaliskach na ziemiach polskich, odnajdują gdzieś żelazne strzemiona. Wynika stąd, iż służyły one już Piastowiczom. Dowodzi tego prof. Józef Kostrzewski w swej pracy, no szaczej tytuł „Kultura pra-polska”.

Przed z górą tysiącem

lat, wszelkie metale, nie wyłączając żelaza, były kosztownym wydatkiem. To też w miejscach poszukiwań archeologicznych z tego okresu, strzemiona ze złazne należą, raczej do rzadkości. Nietrudno więc sobie wyobrazić, że niezamowni jeźdźcy sporządzali strzemiona drewniane, prawdopodobnie dębowe, albo też posługiwali się zwykłą pętlą, wykonaną z powroza. W żadnym wypadku nie jeździli na oklepie.

Według prof. J. Kostrzewskiego, metalowe strzemiona odkopano w Ciepłom koło Gniewna, w Opolu, Tyńcu, Lutomiersku (w podmiejskiej strefie Łodzi, nad Nerem), a także w Wielkopolsce.

Dawna rycerskość narodu polskiego znajdowała swe odbicie i w jego języku. Nie mówili nasi praojcowie — o czym wspomina historyk Joachim Biel ski (1550—99) — tak, jak my dzisiaj zwykliśmy mówić „wstępować w czyje ślady”, lecz „wstępować w czyje strzemie”.

Do naszych czasów prze-



Ta zabawna młoda słoniczka z ogrodu zoologicznego z Zurichu ma trzy miesiące. Jest ona, jednym z czterech słoń, które urodziły się w niewoli w Szwajcarii.

CAF — Keystone



„Sadie”, sympatyczny terier nie wygląda na zachwyconego znakiem, który ustawiono w parku w nadmorskiej miejscowości Teignmouth (Wielka Brytania) zabraniającym spuszczenia psów ze smyczy.

CAF — AP